

ILUSTROWANY TYGODNIK ZAGŁĘBIA MIEDZIOWEGO

POLSKA MIEDŹ

ROK VIII, NR 1 (355)

4 I 1990 r.

CENA 200 ZŁ



Tak wiele emocji budzą prawa dziecka poczętego... Może choć odrobinę uwagi zwrócimy na losy dzieci już narodzonych...? — strona 7.

NOWA RADA W „RUDNEJ”

Na inauguracyjnym posiedzeniu wybrano prezydium. W jego skład weszli: przewodniczący — Zbigniew Borowski, monter urządzeń mechanicznych na oddziale taśmowym, zastępcy przewodniczącego: Marian Okoński — kierownik działu ekonomicznego, Jan Kowal — sztygar zmianowy oddziału górniczego G-5, Zbigniew Wieliczko — elektromonter maszyn i urządzeń górniczych w oddziale elektrycznym E-7, sekretarz — Krzysztof Sędzikowski, sztygar oddziału elektrycznego E-4.

Ze wszystkich stron napływają dary dla społeczeństwa rumuńskiego. Swoją pomoc zadeklarowali także pracownicy Górnictwo-Hutnictwa Specjalistycznego Zespołu Opieki Zdrowotnej w Lubinie. W szpitalnej aptece zgromadzono już leki i materiały opatrunkowe oraz 250 litrów płynu infuzyjnego wartości ponad 5 mln złotych. Powyższe środki medyczne oddano do dyspozycji ZW PCK w Legnicy – koordynatora pomocy dla Rumunii.

Na wniosek organizacji związkowych w ZG „Sieroszowice” załoga tej kopalni zrezygnowała z nagrody eksportowej w wysokości 9,3 mln złotych. Środki te postanowiono przeznaczyć na cele charytatywne. Na rzecz Domu Dziecka w Polkowicach przekazano milion złotych, takiej samej placówki w Głogowie — trzy miliony, zaś głogowskiego PCK i PKPS — 2 miliony. Ponadto 600 tysięcy złotych wyasygnowano na dożywianie ucz-

Kto pójdzie śladem ofiarnej za-
łogi „Sieroszowic”...?

Członków PZPR w województwie legnickim na XI Zjeździe partii reprezentować będą: Andrzej Sorokanycz — sekretarz KZ PZPR w HM „Głogów”, Józef Smoleń z Zakładu Usług Technicznych PGR Grębocice, Ryszard Piatek — I sekretarz KZ PZPR w GPB, Zbigniew Ciasłoń — konstruktor w FUM Chocianów, Eugeniusz Zarnecki — I sekretarz KZ PZPR w ZG „Rudna”, Władysław Bartkowiak — I sekretarz KR PZPR w Lubinie, Zbigniew Kalinowski — kierownik Zakładu Rolnego PGR w Dłużycach, Krzysztof Dziubak — operator maszyn górniczych w ZG „Lubin”, Marek Hanaszynski — z-ca dyrektora Rejonu Przewozów w Legnicy, Bronisława Kowska

— nauczycielka ze Szkoły Podstawowej nr 14 w Legnicy, Władysław Kondeusza — pracownik KW PZPR, Antoni Zapart — pracownik KW PZPR, Stanisław Soltysik — kurator zawodowy w Szpitalu Rejonowym w Złotoryi, Daniel Smutyło — z-ca dyrektora POM w Złotoryi, Henryk Nowak — I sekretarz KW PZPR, Mirosław Gibek — chirurg w ZOZ Jawor, a także partyjni posłowie: Jerzy Bando Bochen, Wiesław Chmielański i Marian Orzechowski.

GUS ujawnił po raz pierwszy największych trucicieli w naszym kraju. Powietrze zanieczyszczają w największym stopniu: elektrownie „Bełchatów” i „Turów” oraz Hut im. Lenina w Nowej Hucie. Nawet więcej ścieków odprowadzają: Zakłady Górniczo-Hutnicze „Bolesław” w Bukowni, elektrownie „Siekierki” w Warszawie oraz Huta im. Lenina. Na liście zakładów dysponujących największymi hałdami odpadów znajdują się Zakłady Górnicze „Rudna”, KWK „Sosnica” w Gliwicach i Zakłady Górnicze „Lubin”.

Aktywnie sobie poczyną na zagranicznych rynkach Zakład Budowy Kopalń, który zaznaczył swoją obecność niemal na wszystkich kontynentach. Wiele wskazuje na to, iż niebawem zostaną zawarte nowe kontrakty na eksport myśli technicznej i usług.

Zaporaowane zostało wstępne porozumienie ze stroną algerijską w sprawie udziału ZBK w roli tzw. asysty technicznej przy budowie czterech tuneli kolejowych o łącznej długości 4600 metrów w rejonie miejscowości M-sila, które opiewa na 4,2 mln dolarów USA i 21 mln dinarów algerijskich. Realizacja tego zadania

potrwa cztery lata, a uczestniczyć w nim będzie 48 polskich specjalistów. W grupie tej, którą będą kierować inżynierowie Antoni Rajtańczak i Zbigniew Sadecki, znajdują się nie tylko fachowcy z LGOM, ale również kilku pracowników warszawskiego „Metroprojektu”, z którym ZBK blisko współpracuje przy realizacji kilku inwestycji i bardzo sobie chwali dotychczasowe kontakty. Rozpoczęcie prac w Algierii ma nastąpić w I kwartale 1990 r.

Przebywająca niedawno w Algierii delegacja z KGHM i ZBK przeprowadziła wstępne rozmowy z dyrekcją firmy Cosider, która jest zainteresowana naszym uczestnictwem w projektowaniu i budowie metra w jednym z największych miast Algierii.

szych miast algierskich — Konstantynie. Warto przypomnieć, iż ZBK bierze już udział w budowie metra w stolicy tego kraju — Algierze. Nie ulega wątpliwości, iż ta nowa oferta ze strony partnera algierskiego jest wynikiem doskonałej opinii o pracy naszych górników zarówno przy budowie metra w Algierze, jak i wcześniej przy drażeniu tuneli kolejowych.

Również Węgrzy cenią fachowość i solidność górników z LGOM, którzy od paru lat prowadzą prace modernizacyjne w kopalni węgla kamiennego w Dórog. Nic zatem dziwnego, iż stroma węgierska rozszerza front robót dla Polaków. W 1990 r. stan lubińskiej grupy zostanie powiększony o 70 pracowników.

Trwają także negocjacje w

sprawie utworzenia przez KGHM ZBK i zjednoczenie węglowe „Dorog” spółki, która zajmie się rozbudową węgierskich kopalń węglowych.

ZBK umacnia też swoją pozycję na rynku chilijskim,

W styczniu górnicy z Lubina zaczną przebijać tunel dla autostrady w pobliżu Santiago. Natomiast w kwietniu br. inna grupa pracowników ZBK przystąpi do drążenia sztolni o długości 315 metrów i nachyleniu 45 stopni dla budowanej hydroelektrowni El-faltal.

Wypada sobie tylko życzyć, aby takie wieści z ZBK napływały coraz częściej. Niebawem będziemy chcieli się przyjrzeć opłacalności realizowanych kontraktów.

Program Balcerowicza, choć logiczny, jest pełen wewnętrznych sprzeczności. Może nie tyle natury ekonomicznej, bo tu nie ma raczej żadnych głębszych luk, ile społecznej, a nawet politycznej. Rzecz bowiem w tym, że wiele z proponowanych rozwiązań grzyzie się z podpisanymi wcześniej społecznymi traktatami, których — póki co — nikt nie uchylił i prawdopodobnie nie zamierza.

Pierwszym z brzegu przykładem może być samorządność pracowni-
ca. Nie trzeba przypominać, że w
roku 1980 jednym z głównym hasł
lanowanych przez rosnącą w siłę
„Solidarność” była samorządność
Po latach polityczno-biurokratycz-
nej dyktatury ludzie pracy chcieli
wziąć swoje sprawy w swoje ręce.
I przyszedł czas, kiedy wzięli, bo
samorządy i rady pracownicze po-
stały, okrzepły, zdobyły doświad-
czenia, obrośli w tradycję. Wąt-
pie, aby dzisiaj jakakolwiek załoga
pracownica zgodziła się na sytu-
ację, w której w sprawach najważ-

niejszych dla firmy nie zabierali-
by współdecydującego głosu jej
przedstawiciele.

Taka trudna do wyobrażenia sytuacja jest jednak możliwa w praktyce. Przemawia za nią program prywatyzacji gospodarki. Jeśli kapitał znajduje się w rękach jednego człowieka, lub wąskiej grupy ludzi, należy z góry wykluczyć możliwość jakiegokolwiek ingerencji z zewnątrz, czyli sposobu grona posiadaczy. O wszystkich

mu, że założymy w firmie »Solidarność«? — Nic — odpowiedział właściciel — pod warunkiem, że zrobicie to za bramą. No i skończyło się na pytaniu.

Dzisiaj trudno jeszcze przewidzieć, z jakim rodzajem prywatyzacji będziemy mieć do czynienia. W Polsce raczej nie ma posiadaczy takich kapitałów, którzy mogliby sobie kupić firmę. A więc w grę może wchodzić kapitał zagraniczny. A to oznacza rządy twardą ręką, czyli

decyduje szef. Nie znam prywatnej firmy w Polsce (a kilka już poznałem), w której właściciel pytałby kogokolwiek o zdanie. W takich firmie obowiązują jednoosobowe kierownictwo i jednoosobowa odpowiedzialność. Nie ma w niej także miejsca dla związków zawodowych.

Pamiętam rozmowę z 1980 albo 81 roku, jaką odbyłem z właścicielem prywatnego zakładu tekstylnego. Otóż przysłał do niego delegacja żalogi z pytaniem: „Szefie, czy będzie pan miał coś przeciwko te-

„zadnych sowietów”, jak zwykt
mawiać marszałek Piłsudski.

W grę wchodzi też inny rodzaj prywatyzacji — poprzez akcjonariat pracowniczy. Jest to znamienny sposób na rozszerzenie grona posiadaczy kapitału do rozmiarów całej załogi — od dyrektora aż po najmłodszego stażem robotnika. Każdy członek załogi nabywa bowiem akcje, a więc staje się faktycznym właścicielem części majątku firmy. Jednak te części nie są jednakowe. Ich wielkość — czyli tzw. lokowanie akcji — zależy

bowiem, od pozycji pracownika u zakładu. Im jest ona wyższa, tym większy pakiet akcji. Właścicielami największych pakietów, a więc często i pakietu kontrolnego, są ludzie z szeroko rozumianego kierownictwa firmy. Oni też z reguły zasiadają w radach nadzorczych, decydując o kierunkach rozwoju i kontrolując poczynania kierownictwa. Nawet jeśli uznamy, że rada nadzorcza w przedsiębiorstwie akcyjnym jest u nas odpowiednikiem naszego rady pracowniczej, to z pewnością w zasadniczo odmiennym wydaniu. Akcjonariat pracowniczy sprawdza się doskonale w warunkach amerykańskich, a więc powinien sprawdzić się i u nas, obojętnie jest, systemem uniwersalnym.

W każdym razie jest rzeczą ciekawą, jak będzie ewoluował system warunków prywatyzacji polskiej gospodarki system samorządności pracowniczej. Bo ewoluować musi. Jest jednak rzeczą niezwykle ważną, aby w tym procesie nie zagrozić ogromu doświadczeń, jakie w ostatnich latach zgromadził pracowniczy ruch samorządowy.

DARIUSZ JAN

Na trzecim roboczym posiedzeniu zebrała się 19 grudnia ub. r. kombinacka Rada Pracownicza IV kadencji. W obradach, którym przewodniczył Wojciech Swakoń, uczestniczyli przedstawiciele dyrekcji przedsiębiorstwa z dyrektorem generalnym Mirosławem Pawlakiem.

PLAN '89

Niejako w „ramach remanentu” w pierwszym punkcie posiedzenia omawiano sprawę planu techniczno-ekonomicznego KGHM na 1989 r. Dokumentu tego — przypomnijmy — nie przyjęła w polowie ub. r. stara rada, która zatwierdziła wówczas jedynie część produkcyjną planu rocznego. W ciągu mijających miesięcy — wyjaśnił szef KGHM — nie mogliśmy przepracować odrzuconych w lipcu części planu, jako że ciągłą zmianie ulegały podstawowe parametry i co tydzień trzeba było nanosić korekty. Oczywiście, przyjmowanie planu na kilka dni przed zakończeniem roku jest swego rodzaju fikcją, ale przedsiębiorstwo ze względów czysto formalnych musi takie opracowanie planistyczne posiadać.

— Przedstawicielstwo Związkowe — poinformował jego przewodniczący Ryszard Zbrzyzny — wolałoby opiniować dziś projekt planu na 1990 r., ale skoro stało się, jak się stało, nie wnosì uwag do planu na 1989 r....

Mniej tolerancyjna była Komisja Górnicza „Solidarność”. — Zatwierdzenie planu w grudniu — oświadczył przewodniczący Władysław Grocki — jest niecelowe. Brak stabilnych zasad powoduje, że plan opiera się na chciejstwie. Tak planować nie wolno. Dlatego KG nie opiniuje planu kombinatu na 1989 r.

Na dodatek w trakcie obrad okazało się, iż swych opinii do planu nie przekazały hutnicze organizacje związkowe znajdujące się poza strukturami kombinackimi. W tej sytuacji przewodniczący rady W. Swakoń zaproponował odłożenie tego tematu na następne posiedzenie.

Innego zdania był Marian Marszałek z kopalni „Konrad”, który uznał, iż przedstawiony projekt planu trzeba zaaprobować i to bez zbędnej dyskusji, bo cóż w nim dziś można zmieniać?

Z tym poglądem nie zgodził się jednak Włodzimierz Gąsior z legnickiej Huty Miedzi: — Mamy decydować o wskaźnikach, a nie dostaliśmy nawet do ręki projektu planu. Nie wiem, czy są one zgodne z planem pięcioletnim zatwierdzonym przez poprzednią radę.

W głosowaniu większość opowiedziała się za odłożeniem sprawy.

— To chociaż zatwierdźmy normy i parametry finansowe dla zakładów — błaga Danuta Firlicińska z zarządu, członek RP.

Przeciwko temu oponuje ostro Adam Butyński z HM „Głogów”, argumentując: — Wśród zestawu tych norm są i takie, które dotyczą płac, ZFS i ZFM. Nie możemy więc o nich decydować nie znając opinii wszystkich związków zawodowych.

Jednakże prośba D. Firlicińskiej znajduje zrozumienie u większości członków rady, którzy wprawdzie nie akceptują, ale pozytywnie opiniują normy i parametry finansowe, aby dyrekcja kombinatu mogła rozliczyć się z zakładami.

10 MLD NA PŁACE

Za to pełna jednomyślność panowała wśród członków RP podczas omawiania następnego tematu — wniosku dyrektora generalnego o wypłatę w IV kwartale 1989 r. dodatkowych wynagrodzeń w kwocie ponad 10 mld złotych.

Rada za akcjonariatem

Jak to się stało, iż kombinat znalazł tyle pieniędzy na podwyżki, skoro jeszcze tak niedawno dyrekcja straszyla widmem bankructwa? Ano bierze się to stąd, że uwarunkowania zewnętrzne, w jakich działa KGHM zmieniają się z dnia na dzień.

— Sytuacja finansowa przedsiębiorstwa — wyjaśnia M. Pawlak — uległa ostatnio wyraźnej poprawie dzięki podniesieniu kursu dolara, ceny krajowej na miedź, notowań na srebro, zmianie wskaźnika indeksacyjnego. Może być ona jeszcze lepsza, jeśli po myśli KGHM zostanie zatwierdzona sprawa nadmiernie wyliczonej dywidendy za przyłączenie „Elpeyny”. Niezależnie jednak od tego można wyasygnować 10,4 mld złotych na poprawę wynagrodzeń i to bez wpadnięcia w 200-proc. podatek.

Liderzy obu kombinackich struktur związkowych przystali na propozycję dyrekcji z ochotą, akceptując zakres i sposób wydatkowania tej kwoty.

Nic dziwnego, że i wśród samorządowców nie było odmiennych zdań.

NOWY SZEF „KONRADA”

Po złożeniu rezygnacji przez dotychczasowego dyrektora naczelnego ZG „Konrad” mgr. inż. Stanisława Pieprzyka, kombinat ogłosił konkurs w celu wyłone-

nia kandydata na nowego szefa.

— Zgłosiło się — informuje zebranych członek komisji konkursowej M. Marszałek — pięciu kandydatów. Jeden wycofał się w „przebiegach”, nie podając przyczyny. Drugi nie uzyskał wymaganej regulaminem ilości punktów (90). Kandydatury pozostałej trójki przedłożono dyrektorowi generalnemu.

Po rozmowach z kandydatami i konsultacjach z czynnikami zakładowymi — stwierdza M. Pawlak — postanowiłem postawić na mgr. inż. Antoniego Skoblińskiego.

Jerzy Kleszczewski, przewodniczący RP w kopalni „Konrad” mówi: — Nasza rada pozytywnie zaopiniowała kandydaturę przedstawioną nam przez szefa kombinatu. Wybór ten jest trafny. Inżynier Skobliński ma duży autorytet wśród załogi, jest lubiany

i szanowany. Gwarantuje bezkonfliktowe przeprofilowanie zakładu.

A M. Marszałek dodaje: — A. Skobliński od 23 lat pracuje w „Konradzie”. Przeszedł tu wszystkie górnicze szczeble, od nadzornika do naczelnego inżyniera. Zdaniem Komisji Zakładowej „Solidarności” wybór ten spełnia oczekiwania załogi. Dobrze, że górnik poprowadzi dalej zakład, bo wprawdzie kończy się wydobywanie rudy miedzi, ale podstawowym kierunkiem będzie nadal eksploatacja i przerób innej kopaliny — anhydrytu.

Członkowie rady interesują się głównie tym, jak nominat zamierza restrukturyzować kopalnię, mając na względzie trudną sytuację ekonomiczną.

— Mamy sprecyzowany program działania — odpowiada A. Skobliński. — Główny kierunek to anhydryt i produkcja wyrobów gumowych i metalowo-gumowych w oparciu o maszyny importowane ze Szwecji. Zajmiemy się też hodowlą grzybów. Inne rodzaje działalności podejmiemy później. Poszczególne zadania chcemy oddawać etapami i szybko uruchamiać produkcję, aby w ten sposób zarabiał pieniądze na dalsze prace. Będziemy mogli dzięki temu ograniczyć do minimum kredyt bankowy.

— Czy redukować pan będzie tylko etaty pracowników fizycznych, tak jak w innych zakładach, gdzie urzędników obejmuje się ochroną? — indaguje Leszek Czulak z ZG „Lubin”.

— Część ludzi będzie musiała przejść do pracy w LGOM; w tej grupie jest też 30 osób dozoru. Jeśli chodzi o administrację, to ulegnie ona wyraźnemu zmniejszeniu wówczas, gdy zmienią się przepisy. Mniejsza sprawozdawczość, jaśniejsze zasady placowe — to mniej urzędników w zakładzie.

W tajnym głosowaniu RP wyraziła zgodę na powołanie mgr. inż. Antoniego Skoblińskiego na dyrektora naczelnego „Konrada” (33 — za, 2 — przeciw, 1 — wstrzymał się).

ODPOLITYCZNIE KGHM

W kolejnym punkcie dyrektor generalny poinformował o stanie realizacji uchwał Rady Pracowni-

PO(D)GLĄDY

Odmiany

Mamy pluralizm. A pluralizm to sytuacja, w której każdy może gadać i pisać co mu ślina na język przyniesie. Bez obawy, że go wezwą na przesłuchanie albo wyleją z roboty za nieprawomyślność. Wbrew pozorom nie jest to jednak przyczyną do powszechnej szczęśliwości. Od czasów Platona praktyka życia społecznego uczy, że demokracja demokracją, a na pluralizmie najlepiej wychodzą ci, co chwałą czyny panującego i jego pretorian.

Do czerwca zeszłego roku, wedle panującej partii i jej dworaków żyliśmy w socjalistycznej Polsce, w której wszystko było socjalistyczne; obowiązywał więc socjalistyczny model państwa z socjalistycznym społeczeństwem, którym rządziły socjalistyczne stosunki społeczne. Mielśmy socjalistyczną gospodarkę, socjalistyczną politykę, socjalistyczną sprawiedliwość, socjalistyczną praworządność, socjalistyczną moralność, socjalistyczny model wychowania, socjalistyczną kulturę, budownictwo socjalistyczne, socjalistyczną etykę i w ogóle wszystko socjalistyczne. Kapłani socjalistycznej partii dbali o rozszerzanie stref socjalizmu, przeto w życiu społecznym pozostały tylko niewielkie obszary nie ochrzczone jedynie słusznym przymiotnikiem. Wszystko było jasne i łatwe do określenia, bo ten, kto cokolwiek krytykował — był oczywiście przeciw. Socjalizmowi. Nawet jeśli nosił jedynie słuszną legitymację.

Teraz wszystko się zmieniło. Mamy pluralizm. I inną formację społeczno-polityczną, wedle formuły doniedawnej opozycji. Jest więc solidarnościowy rząd i senat, solidarnościowe związki, nie tylko zawodowe, jest solidarnościowa propaganda, solidarnościowa gospodarka i kultura animowana w duchu ideałów solidarności. Mamy solidarnościową samorządność i solidarnościowy etos i w ogóle, wszystko, co ma solidarnościową etykę, jest słuszne i lepsze. Od tego, co obowiązywało do niedawna.

Opowiadał mi pewien menedżer, znany z tego, że nigdy i przed nikim nie nagmat karku, iż na solidarnościowym gruncie pluralizmu pozwolił sobie skrytykować niezbyt rozsądną propozycję solidarnościowej rady pracowniczkiej wspieraną przez solidarnościowy związek. W replice usłyszał: — A więc jesteś pan przeciwko nam. Taki dyrektor nie jest nam potrzebny!

I taka bywa różnica między realnym socjalizmem a realnym pluralizmem.

Dlatego marzę o Polsce bez żadnych przymiotników.

JAN DOŃSKI



Fot. Jerzy Kosiński

(Dokończenie na str. 5)

Z ADAMEM PLEŚNAREM i WIESŁAWEM RACHWA-

LEM — uczestnikami Zespołu Aktywności Samorządowej

Ruchu Wolnych Demokratów, rozmawia Bożena Kończal.

● Co sądzicie panowie o obecnej kondycji samorządu pracowniczego i jego roli w procesie politycznych i gospodarczych przemian?

Adam Pleśnar: — Aby odpowiedzieć na miarę trafnie na pytanie „gdzie jesteście?”, być może należy wcześniej przypomnieć sobie: „skąd przychodzimy?”. Właśnie niedawno zetknąłem się ze wstrząsającym dokumentem. Jest to instrukcja NK 003/47 z 2 kwietnia 1947 r. (pismo ściśle tajne K.A.A. OC/113) przeznaczona dla placówki KGB w ambasadzie ZSRR w Warszawie, należąca w kancelarii Bolesława Bieruta. Na 49 dyrektyw tej instrukcji jedna trzecia brzmiała: „Przyspieszyć likwidację krajowców związanych z KPP, PPS, Walterowców, KZMP, AK, BCh i innych ugrupowań, które powstały bez naszej inspiracji. Wykorzystać w tym celu fakt istnienia zbrojnej opozycji”. Nie zapomniano też, przecież nie bez przyczyny, o samorządzie pracowniczym. Oto w jaki sposób postanowiono sprowadzić go do roli ornamentacji nowej, proradzieckiej rzeczywistości. Czytamy w dyrektywie 16: „Samorządy w zakładach pracy nie mogą mieć żadnego wpływu na kierunek działania przedsiębiorstw. Mogą zajmować się jedynie sposobem wykonywania zleconych zadań”.

Trzeba oddać sprawiedliwość PZPR — przez całe dziesięciolecie nie „pieściła” samorządności pracowniczej, a wszystkie autentyczne odruchy załóg tępiła w zarodku. Tak więc zlikwidowano rady zakładowe w 1950 r., „skaeseryzowano” rady pracownicze w 1958 r. i zawieszono działalność samorządową po 13 grudnia 1981 r. Trudno sobie nawet wyobrazić, jak ogromny potencjał aktywności społecznej został zmarnowany bezpowrotnie. Nic więc dziwnego, że po tylu negatywnych doświadczeniach, załogi przedsiębiorstw państwowych nie kwapiły się do szybkiej rekonstrukcji rad pracowniczych po odwołaniu stanu wojennego. Co więcej, taką działalność uważano za „kolaborację”.

Ruch Wolnych Demokratów, którego obaj z Wiesławem jesteśmy uczestnikami, nie podzielał takich poglądów. Uważaliśmy bowiem, iż należy moźliwie przyczółki demokracji, wszędzie — ale i tylko tam, gdzie można wykorzystać naprawę demokratyczną procedurę wyborczą. A więc — zaatakować dla opozycji demokratycznej rady osiedlowe, rady pracownicze oraz organa samorządu adwokackiego, radców prawnych itp. Niestety jednak inne środowiska nie kwapiły się wówczas, aby podjąć taką grę. Łatwiej było w gronach towarzyskich wykrzykiwać „na komuchów” niż po prostu zabrać się do roboty...

Obecnie następują zasadnicze przeobrażenia systemu politycznego i pojawiło się nowe niebezpieczeństwo dla samorządów. Wiele ugrupowań politycznych, w reakcji na popełnione wcześniej błędy i nadużycia systemowe, zaczyna głosić idee szeroko pojętej reprivatyzacji. Nie ma w niej miejsca na funkcjonowanie samorządu pracowniczego. Przechodzi się z jednej skrajności w drugą. Metody wyłącznie menedżerskiego zarządzania gospodarką wykluczają współdecydowanie zespołów ludzkich. Uważa się je za niekompetentne i nie mogące w „prawidłowy sposób” podejmować decyzji. Zatem w tej chwili podstawowym problemem jest rozstrzygnięcie, jakie formy własności jednostek

gospodarczych mają obecnie pojawić się w Polsce i jaką rolę ma spełniać samorząd pracowniczy. Spierają się teoretycy i praktycy... Kiedyś PPS głosiła hasło szerokiego współdzielstwa gospodarki narodowej. Być może jest to jeden z właściwych kierunków. Istnieje przecież możliwość przekształcenia niektórych zakładów pracy we własność grupową na podobieństwo choćby kibuców izraelskich.

Wiesław Rachwał: — Zarzuca się, że na obecnym etapie większość rad pracowniczych jest dyspozycyjna wobec dyirekcji przedsiębiorstw. Faktycznie w niektórych przypadkach tak jest, ale dlatego, że samorząd nie mógł się rozwinąć. Oskarżenie, że się nie

się udziału w zarządzaniu, niczego nie zmienia.

AP: — Musi zostać uchwalona przez Sejm jakas sensowna ustawa, regulująca całość gospodarki narodowej i przewidująca różne formy przekształceń własnościowych. To załogi powinny decydować, oczywiście po przedstawieniu wszechstronnej analizy, jaka forma własności będzie najbardziej odpowiednia dla zakładu pracy. Myślę, że wiele rad pracowniczych skłoni się w stronę własności grupowej. Tam bowiem samorząd będzie potrzebny i, niemy nadzieję, okaże się efektywny. Jednakże ludzie w nim działający muszą być odpowiednio przygotowani. Powinny mieć gruntowną wiedzę o swoim przedsiębiorstwie, znać prawa rynku i umiejętnie korzystać z pomocy ekspertów. Podjęliśmy problem akcjonariatu pracowniczego. Załogi, które chciałyby wykupić zakłady, mające dużą wartość kapitałową, musiałyby to czynić w ciągu kilkudziesięciu lat, przy zało-

hochszaplery polityczni traktują pracowników zatrudnionych w przedsiębiorstwach państwowych jako „roboty”, ujawniających wyłącznie postawy roszczeniowe i potrzeby konsumpcyjne. Ich zdaniem jest to motłoch, potrzebujący bicia ekonomów w białych kołnierzykach. Ludzie ci, jak widać, niczego się nie nauczyli z wydarzeń lat 1980—89. Oczywiście jestem daleki od tego, by mitologizować ogół zatrudnionych, a tym bardziej, by nie dostrzegać zróżnicowania postaw wobec pracy. Sądzę jednak, że załogi pracownice dojrzejają powoli, aby brać sprawy realnego zarządzania jednostkami gospodarczymi w swoje ręce.

WR: — Przedsiębiorstwo samorządowe tak, drobne przedsiębiorstwo prywatne, to zresztą naturalne, że muszą istnieć. Powstaje jednak pytanie: co będzie z przedsiębiorstwami, których nikt nie będzie chciał kupić, a z różnych względów muszą istnieć?

● Czy w takim razie samorząd

Szanse i zagrożenia

sprawdził, jest bezpodstawne. Nie miał on bowiem warunków, aby być prawdziwym samorządem. Uważam jednak, że gdyby nie samorząd nie mieliśmy dziś reformy gospodarczej. W 1986 r. próbowano przeprowadzić KSR-zację, ale na szczęście się ona nie powiodła. Dotychczasowe konflikty między dyrektorem i radą pracowniczą brały się stąd, że dyrektor był inspirowany przez centrum, wymuszające na nim realizowanie określonych celów politycznych i partykularnych grup zakładowych. Najostrejsze starcia były tam, gdzie samorząd był autentycznym reprezentantem załogi. Teraz, w nowych warunkach mogłoby się wydawać, że skończyła się batalia o podmiotowość samorządu pracowniczego i może się on skoncentrować na działalności ściśle gospodarczej, wewnątrz przedsiębiorstwa. Nic z tego, życie zmusza do czuwania, aby ci, którzy będą inspirowali nowe uregulowania prawne, nie umniejszali znaczenia samorządu, albo wręcz nie zaprzeczali idei samorządności.

● Czy faktycznie istnieje groźba wyeliminowania samorządu?

AP: — To niebezpieczeństwo jest realne. Samorząd musi mieć czym gospodarzyć, dysponować odpowiednimi kompetencjami oraz — co szalenie ważne — posiadać wolę i umiejętności korzystania ze swoich uprawnień. Dziś jeszcze nie ma czym gospodarzyć, bo przecież przedsiębiorstwa zarządzają tylko wyodrębnioną częścią majątku narodowego. A więc nie stanowią własności grupowej. Rady pracownicz nie mają jeszcze dostatecznie dużych kompetencji, a poza tym nie zawsze działacze samorządowi są wystarczająco dobrze przygotowani do wypełniania swoich powinności.

● Co powinna zmienić nowa ustawa o samorządzie? Do tej pory rady pracownicz funkcjonowały w przedsiębiorstwach państwowych. Teraz, gdy zmienia się system gospodarczy naszego kraju, również idea samorządności w zakładzie pracy musi ulec przeobrażeniu.

WR: — Samorząd musi mieć rzeczywiste możliwości działania, w tym decydować o wyborze i warunkach pracy dyrektora. Musi mieć też, o czym wspominał Adam, czym zarządzać. Wiele się aktualnie mówi np. o akcjonariacie pracowniczym, ale posiadanie akcji w sytuacji, gdy nie potrafi się z nich zrobić użytku, ani też nie ma

żeniu, że całość miesięcznego uposażenia przekazywałyby tylko na ten cel. Rodzi się więc pytanie: kto ma takie zakłady przejąć od państwa? Część skrajnych liberałów sądzi, że władze państwowe podarują im nierentowne przedsiębiorstwa, by mogli oni efektywnie nimi gospodarować. Tak, ale dlaczego właśnie my, jako współwłaściciele majątku narodowego, z mocy samego prawa, mamy pozbawiać się naszych uprawnień własnościowych na rzecz ludzi mających zamiar gospodarzyć na własny rachunek i uzyskiwać dzięki temu wielkie profity? Jeśli mają kapital niech budują własne zakłady pracy lub kooperują z naszymi przedsiębiorstwami. Na to oczywiście, czekamy. Lansowane są również propozycje, jeszcze niezbyt jasno i głośno prezentowane, aby część majątku narodowego mógł wykupić obcy kapitał. W praktyce za bezcen, gdyż przy obecnej relacji zachodnich walut do złotówki i braku możliwości realnej wyceny składników majątkowych, tak właśnie stać się może. Oczywiście w takim przypadku samorząd pracownicz byłby zupełnie niepotrzebny, bo zatrudnieni byłiby tylko polską siłą najemną. Być może do tego właśnie zmierzają niektóre polskie grupy polityczne, nie wyłączając części środowisk opozycyjnych. Wiem, że wypowiadam poglądy niepopularne, więc zenująca jest sytuacja gdy część członków PZPR głosi hasła skrajnie liberalne, ujawniając w ten sposób swój żalony oportunizm.

— Dla mnie ci, którzy lansują reprivatyzację jako jedyny środek na uzdrowienie naszej gospodarki, jako alternatywę dla przedsiębiorstw państwowych, są albo oszustami, albo nie pojmują tego co mówią.

● Jaka przyszłość czeka więc nasze przedsiębiorstwa? Czy faktycznie rozsprzedanie majątku narodowego, czy może jednak „przedsiębiorstwa samorządowe”?

AP: — Nie można dziś jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie. We wschodniej Europie dokonują się takie wydarzenia, o których się nie śniło naszym filozofom. Nie jest bez znaczenia jak się do różnego rodzaju propozycji przekształceń własnościowych ustosunkują lobby polityczne, a przede wszystkim ci, którzy są pracownikami zatrudnionymi w gospodarce narodowej. Jest to przecież potężna armia kilkunastu milionów. Wciąż jeszcze, niestety, różni starzy i nowi prominentni

ma szansę się utrzymać? Jaka stoi przed nim przyszłość?

WR: — Do tej pory nie było warunków, aby ludzie aktywnie włączali się w życie przedsiębiorstwa. Nie decydowały bowiem kompetencje, a funkcjonowanie w układzie. Problem w tym, że pracownicy muszą poczuć się gospodarzami i stwierdzić, że to się im opłaca.

AP: — Chciałbym wrócić jeszcze do poprzedniego pytania. Sądzę, że większość przedsiębiorstw pozostanie jeszcze w ciągu wielu lat własnością państwa. Nawet w przypadkach dzierżawy jednostek gospodarczych, załogi będą tylko ich dysponentami. Niezależnie bowiem od hałaśliwości liberałów, własność społeczna będzie miała w Polsce charakter dominujący. Równocześnie jednak zostanie uruchomiony proces powodujący, że część większych i średnich przedsiębiorstw stanie się własnością grupową, w znaczeniu spółdzielczym bądź samorządowym. Natomiast większość małych zakładów będzie prawdopodobnie sprzedana osobom prywatnym, co niewątpliwie ożywi nasze życie gospodarcze. Udział obcego kapitału jest również konieczny i pożyteczny, ale tylko wtedy, gdy państwo zachowa kontrolę nad jego działalnością. Jest w tym wszystkim moim zdaniem, miejsce na wzrost roli samorządu pracowniczego. Wciąż jednak nie jestem pewny, czy załogi są już dzisiaj zdolne do wyłaniania takich reprezentantów, którzy w kompetentny sposób zajmą się rozwiązywaniem problemów gospodarczych i społecznych zakładu. I tutaj właśnie dostrzegam olbrzymią rolę ludzi aktywnie zdobywających wiedzę i praktykę w różnych dziedzinach społecznej w różnych formach samorządu. Jest to pole do działania krajowych i regionalnych różnorodnych instytucji oświatowych, jak np. Wszechnicy Samorządowej działającej w ramach wrocławskiego przedsiębiorstwa „Promag” a także Zespołu Aktywności Samorządowej Ruchu Wolnych Demokratów.

● Czym konkretnie zajmuje się wasz zespół?

AP: — Zespół Aktywności Samorządowej Ruchu Wolnych Demokratów został utworzony we Wrocławiu 23 sierpnia 1989 r. Podstawowym jego celem jest udział, choćby skromny, w realizacji idei Samorządnej Rzeczypospolitej, głównie przez studiowanie szeroko rozumianej problematyki samorządności terytorialnej, pracowni-

czej, spółdzielczej, spółkowej, zawodowej, opracowywanie ekspertyz, projektów i materiałów pomocniczych dla organów samorządowych, a także uczestnictwo w szkoleniach i poradnictwo dla działaczy samorządowych. W pracach zespołu biorą m.in. udział przewodniczący prezydium rad pracowniczych dwóch największych zakładów pracy Wrocławia (Pafawagu i Jelcza), będący uczestnikami RWD, jak również członkowie Wrocławskiego Klubu Samorządu Pracowniczego i działacze Stronnictwa Pracy.

WR: — Oczywiście zespół ten nie może legitymować się jeszcze znaczącymi osiągnięciami. Jest jednak płaszczyzną współpracy zwolenników samorządu, działających w różnych ugrupowaniach społecznych i politycznych. Zespół, pod kierownictwem dr. inż. Mikołaja Firleja — jednocześnie uczestnika RWD i członka Stronnictwa Pracy — wypracował projekt ustawy o przedsiębiorstwie pracowniczym, którego pełny tekst został opublikowany w grudniowym numerze „Zmian” z 1989 r.

● Skąd się w ogóle bierze zainteresowanie Ruchu Wolnych Demokratów problematyką samorządu pracowniczego?

AP: — Nasz poprzednik ideowy — Związek Młodych Demokratów, działający od 30 listopada 1956 r. do 16 stycznia 1957 r. — z przyczyn politycznych ideę walki o samorządność wpisał do swojej deklaracji ideowo-programowej. Wartości tej pozostaliśmy wierni mimo upływu 33 lat. Po prostu nie wierzymy w możliwość podarowania społeczeństwu demokracji „na złotą tacy”, w wyniku odgórnej reglamentacji. Doświadczenia dowodzą, że taka darowana „demokracja” jest powierzchowna i kaletka. Łatwo ją rozmyć lub nawet unicestwić w sprzyjających okolicznościach. Uczestnictwo najszerszych kręgów ludzi pracy w zarządzaniu wspólnym dobrem, jakim jest niewątpliwie majątek narodowy lub grupowy stanowi znakomitą lekcję odpowiedzialności za sprawy własne i zbiorowe. Ale także okazją do autentycznej edukacji obywatelskiej, podobnie jak rodzina jest naturalnym środowiskiem wychowania moralnego. Skąd bowiem mają się brać przyszli działacze szczebla gminno-miejskiego, wojewódzkiego i państwowego? Gdzie przecież muszą przejść twardą szkołę rozwiązywania trudnych dylematów społecznych i podejmowania odpowiedzialnych decyzji? Z tego punktu widzenia, samorząd, także pracowniczy, jest znakomitą szkołą, gdzie zdobywa się społecznikowskie i obywatelskie ostrogi.

WR: — Wszyscy ci, którzy bezceremonialnie zwalczała samorząd pracowniczy, obiektywną wymową swojej postawy oznaczają jakże trudny proces przeobrażeń demokratycznych w Polsce. Działają więc przeciwko żywemu interesom narodu i państwa polskiego.

● Dziękuję za rozmowę.

ADAM PLESNAR — historyk, prawnik, były wiceprzewodniczący Rady Pracowniczej w Przedsiębiorstwie Budownictwa Drogowego i Mostowego we Wrocławiu.

WIESŁAW RACHWAŁ — przewodniczący Rady Pracowniczej w Pafawagu.

Od redakcji: Zachęcamy naszych Czytelników do dyskusji na temat przedstawionych w rozmowie problemów. Czekamy na listy.

Rada za akcjonariatem

(Dokończenie ze str. 3)

czej i Zebrania Delegatów z listopada w sprawie działalności organizacji politycznych i społecznych w zakładach pracy.

Zebrani otrzymali pismo szefa KGHM do przewodniczącego RP informujące o podjętych krokach, ale i o występujących problemach. — Uznając kierunkowo za słuszne wysunięte przez organa samorządu załogi wnioski, chcę jednocześnie stwierdzić — pisze — że realizacja ich jest w aktualnie obowiązujących uwarunkowaniach formalnoprawnych wyjątkowo trudna. Trudność ta (...) polega również i na tym, że wraz z odchodzeniem od obowiązującego systemu polityczno-gospodarczego nie następuje nowelizacja obowiązujących przepisów prawa, co nadal ogranicza swobodę działania przedsiębiorstwa w zakresie wskazanych uchwałami samorządu spraw (...).

Dyrektor powiadamia radę, iż zobowiązał kierowników zakładów do wyczerpania ponoszonych kosztów z tytułu funkcjonowania w zakładach organizacji społeczno-politycznych, zaprzestania z dniem 21 listopada pokrywania wydatków wynajmowania samochodów dla ich potrzeb oraz zaniechania — jeśli nie wynika to z obowiązujących przepisów — zapraszania przedstawicieli organizacji politycznych i społecznych do udziału w pracach zakładowych komisji i zespołów. Zalecił też dyrektorom wprowadzenie zakazu oddelegowywania pracowników w godzinach pracy do uczestnictwa w zebraniach i naradach zwoływanych przez zakładowe organizacje społeczno-polityczne.

Jednocześnie poinformował radę o wystąpieniu do ministra Halla o zajęcie stanowiska w kwestiach zrzeszania się pracowników w legalnie działających organizacjach polityczno-społecznych oraz funkcjonowania ich w przedsiębiorstwie.

Zwrócił się również do rady o uściślenie niektórych zapisów uchwały dotyczących np. sprawy działania organizacji wspomagających działalność socjalną i kulturalną.

W dyskusji Zygmunt Bober z ZNM apelował, aby sprawą obecności organizacji politycznych i społecznych, w tym głównie PZPR, nie podgrzewać atmosfery w obliczu czekającej nas trudnej sytuacji. — Przecież organizacje partyjne w zakładach — podkreślił — działają na rzecz spokoju, mobilizują ludzi do pracy.

Odmiennego zdania byli inni mówcy, uważający, iż stan realizacji uchwały jest niezadowolający. — Jej postanowienia — stwierdził m. in. M. Marszałek — są omijane. Wł. Grocki zauważył, iż na tle tego, co się dzieje w sąsiednich krajach, gdzie partia sama wychodzi z zakładów, my robimy to w białych rękawiczkach. I dlatego idzie to tak opornie. —

Na samym początku popełniliśmy błąd — dowodził Wiesław Świercz z ZRG — bo w uchwale nie podaliśmy terminu wypracowania organizacji politycznych i społecznych. Wystąpmy do Sejmu, żeby rozwiązał ten problem jak najszybciej.

— Nie zwracajmy Sejmowi głowy taką sprawą — polemizuje Józef Orzechowski z HM „Głogów”. — Jej załatwienie w kombinacie należy do nas.

Ostatecznie z pomysłu z listem do Sejmu zrezygnowano, natomiast RP większością głosów (24 — za, 1 — przeciw, 9 — wstrzymujących się) zobowiązała komisję statutowo-organizacyjną do skontrolowania realizacji uchwały w zakładach. Dopiero po zebraniu uwag i spostrzeżeń rada wróci do tematu.

NA FUNDUSZ PREMIERA

M. Pawlak w imieniu dyrekcji wystąpił do rady z wnioskiem o przekazanie z zysku KGHM 120 mln złotych na rzecz funduszu wspierania inicjatyw społecznych i gospodarczych premiera Tadeusza Mazowieckiego.

Na wstępie padły głosy, aby jednocześnie wskazać, iż część tych środków winna wrócić do województwa legnickiego w formie zasilenia konta PCK, dofinansowania domów dziecka i pomocy społecznej.

— Skoro popieramy premiera i mamy do niego pełne zaufanie — skonstatował Stanisław Lembas z ZG „Rudna” — to wręcz nietaktem byłoby sugerowanie, gdzie te fundusze mają być skierowane.

Zgłoszono więc projekt, aby tylko część tej kwoty przekazać na konto inicjatyw rządowych, a pozostałą część na pomoc dla różnych instytucji społeczno-dobroczynnych w Legnickiem. Ale i on nie znalazł poparcia.

Rada jednomyślnie przystała na wniosek dyrektora generalnego.

4 MLD NA POZYCZKI

Jeszcze więcej emocji wywołała kolejna propozycja dyrekcji, aby wyasygnować 4 mld złotych na pożyczki dla pracowników, aby mogli szybciej spłacić kredyty bankowe na budowę domków jednorodzinnych. Bowiem zgodnie z zapowiedzią mają one być zrewaloryzowane. Obciążałoby to też znacznie zakłady, które — w myśl przepisów — spłacają za pracowników odsetki od tych kredytów.

Komisja Ekonomiczna uznała taką działalność za logiczną.

Przedstawicielstwo Związkowe wyraża swoją zgodę, ale pod warunkiem, że operacja ta nie pominiejszy środków na dofinansowanie wczasów, kolonii, zimowisk, a także funduszu nagród.

Komisja Górnicza „Solidarność” jest zdania, że z tych kredytów korzystali głównie uprzywilejowani. Postanowiła więc nie zajmować stanowiska, uważając, iż RP powinna podjąć taką decyzję,

jaka będzie zgodna z dobrem przedsiębiorstwa.

Po długiej dyskusji RP zaopiniowała pozytywnie wniosek dyrektora generalnego, ale ostateczny głos należeć jednak będzie do delegatów.

AKCJONARIAT

W Polsce trwa ożywiona dyskusja na temat przekształceń własnościowych. Istnieje silny nacisk na komercjalizację przedsiębiorstw, wyprzedaż majątku prywatnemu kapitałowi. — My — stwierdza W. Swakoń — opowiadamy się za innym kierunkiem transformacji polskiej gospodarki — za akcjonariatem pracowniczym. Aby jednak tak się stało, trzeba stworzyć w kraju silne lobby, które będzie oddziaływało na proces legislacyjny, zajmie się szkoleniem załóg itp. Powstała grupa inicjatywna, która chce zinstytucjonalizować siły zainteresowane tym kierunkiem zmian, w postaci Izby Gospodarczej „Unia Własności Pracowniczej”. Tworzy ją już 18 przedsiębiorstw w Polsce, w grupie tej winien znaleźć się też KGHM. Gościliśmy ostatnio w kombinacie p. Krzysztofa Ludwiniaka, dyrektora operacji międzynarodowych firmy ESOP-Services, któremu dyrekcja wręczyła list intencyjny. Zawarte jest w nim zainteresowanie kombinatu sprawami akcjonariatu pracowniczego, przekształcenia jego struktury i uruchomienia banku. Powinniśmy poprzeć te działania dyrekcji.

Rada jednomyślnie zaakceptowała list intencyjny dyrektora, złożony na ręce K. Ludwiniaka. Przy 1 głosie wstrzymującym się podjęła wniosek skierowany do dyrekcji o odnośnie przystąpienia KGHM do grupy inicjatywnej Izby Gospodarczej „Unia Własności Pracowniczej”. Jednogłośnie przyjęto treść listu skierowanego do marszałków Sejmu i Senatu:

„Rada Pracownicza KGHM w Lubinie włączając się w ogólnopolską dyskusję na temat transformacji polskiej gospodarki, a szczególnie przekształceń własnościowych, wniosek o uchwalenie ustawy o akcjonariacie pracowniczym oraz takiej ustawy o prywatyzacji przedsiębiorstw państwowych, która sprzyjałaby akcjonariatowi pracy.

Uważamy, że wprowadzenie postulowanego wyżej rozwiązania własnościowego spowoduje upodmiotowienie pracowników, wzrost ich suwerenności ekonomicznej. Ustytuuje interes pracownika nie tylko po stronie dystrybucji i konsumpcji, ale także po stronie produkcji. Pobudzi to inicjatywę gospodarczą zatrudnionych, przyniesie znaczący wzrost efektywności wykorzystania majątku przedsiębiorstwa oraz jego rozwój. W skali całej gospodarki przyczyni się do powstania rynku kapitałowego, będzie wspomagało wprowadzenie systemu rynkowego.

Bardzo ważną przesłanką przemawiającą za wprowadzeniem akcjonariatu pracowniczego jest obniżenie poziomu napięć społecznych, które niewątpliwie wystąpią podczas przemian własnościowych. Wnioskujemy także o przeprowadzenie nad postulowanymi przez nas rozwiązaniami szerokiej konsultacji społecznej z udziałem rad pracowniczych i związków zawodowych”.

Wyrażamy przekonanie, iż głos Rady Pracowniczej największego w Polsce przedsiębiorstwa nie pozostanie bez odzewu.

JAN KURASZ

W materiale prasowym pt. „Stan wyjątkowy” autorstwa red. Janusza Dobrzańskiego, opublikowanym w 41 numerze „PM”, zwrócono uwagę na szereg istotnych kwestii kształtujących sytuację w budownictwie mieszkaniowym woj. legnickiego. Niektóre problemy wymagają jednak uzupełnienia i poszerzenia informacji.

Program „5+1” miał charakter kierunkowy i docelowy, a wielkości, które z niego wynikały w pełni zabezpieczały potrzeby mieszkaniowe. Były to wielkości maksymalne, możliwe do uzyskania jedynie w optymalnych warunkach. Przyjęcie tej koncepcji oznaczało, iż wszelkie zakłócenia o charakterze obiektywnym czy subiektywnym, pociągają za sobą realną groźbę niewykonania wyznaczonych programem zadań. Sprawa otwartą pozostaje odpowiedź na pytanie: Czy przyjęcie innej koncepcji zadań, na niższym poziomie, było w kontekście potrzeb mieszkaniowych woj. legnickiego działaniem słusznym. Niestety, zbyt często zapomniano o tym i łatwo ten program nabrał cech hasła programowego.

Natomiast jest faktem, że realizowany program przyniósł w latach 1984—1988 wymierne efekty. W wielu miastach, osiągnięto wielkości docelowe, zakładane w programie. Tak stało się w Chocianowie, Chojnowie, Jaworze czy Przemkowie. Okres oczekiwania na mieszkanie w tych miastach wyraźnie się skrócił, np. w Chocianowie do 3 lat, a w pozostałych do ok. 5 lat. Uzyskano znaczący postęp w realizacji budownictwa towarzyszącego. Zrealizowano niezmiernie ważną dla województwa inwestycję „Wielka woda” czy też Centralną Ciepł-

nię dla Legnicy. Ilość przekazywanych mieszkań w przeliczeniu na 1000 mieszkańców, lokowała Legnickie na pierwszym—drugim miejscu w kraju, a cykle realizacyjne były jedne z najkrótszych. Osiągnięto je dużym wysiłkiem załóg przedsiębiorstw budowlanych i inżynierów-montażowych.

Jest truizmem przypomnienie, że stan budownictwa jest funkcją kondycji gospodarki narodowej, ale takie są fakty. W 1988 r. sytuacja zaczęła się pogarszać, mimo to osiągnięte wyniki, chociaż niższe niż w latach poprzednich, należały jeszcze do najlepszych w Polsce. W tym roku sytuacja jest

„Stan wyjątkowy”

już bardzo trudna, a skala problemów jest większa niż można było przewidzieć. Jak wynika z posiadanych informacji, spadek poziomu budownictwa za okres trzech kwartałów br. jest w Legnickim analogiczny do skali krajowej (dynamika do 1988 r. kształtuje się na poziomie 81—82 proc.).

Dyskusyjny charakter ma uwaga dotycząca wykorzystania monopolistycznej pozycji przedsiębiorstw budowlanych. Wydaje się, że jest to raczej świadectwo słabości potencjału wykonawczego i małego zainteresowania ze strony innych sektorów wykonawczych, zwłaszcza spółek i rzemieślników. Nie skuteczne okazały się próby szerszego rozwoju budownictwa zakładowego i zaangażowania różnego rodzaju ekip remontowo-budowlanych. W sytuacji zniesienia centralnego rozdzielnictwa materiałowego, warunki realizacyjne stały się przecież w miarę jednakowe dla wszystkich. Jeśli chodzi o warunki placowe w przedsiębiorstwach budowlanych, to w I pół-

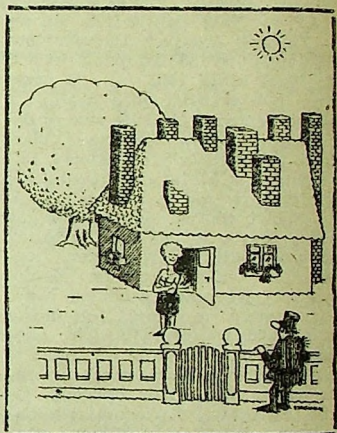
roczu br. przeciętna placą kształtowała się na poziomie 132 tys. zł, natomiast w końcu września osiągnęła poziom 259 tys. zł, a nie jak podano w artykule 400 tys. zł. W okresie ostatnich dwóch lat zanotowano 11-proc. spadek zatrudnienia i to głównie w grupie pracowników bezpośrednio produkcyjnych i w dalszym ciągu ten spadek dramatycznie się pogłębia.

Słuszne są uwagi red. Dobrzańskiego dotyczące zamieszania, jakie panuje w sferze realizacyjnej. Obejmuje ono praktycznie wszystkie najważniejsze obszary: materiałowo-zaopatrzeniowy, transportowo-sprzętowy, zatrudnienia i w

tw. mostowe. W działalności inwestycyjnej, jak widać, mocno skomplikowanej, niezbędne staje się podejmowanie szybkich, często ryzykownych decyzji. Zbyt długie oczekiwanie aż problem zostanie załatwiony przez kogoś innego, często nie przynosi pożądanego rezultatu. Biorąc do tej pory nie istnieje system rozwiązań, który w naturalny sposób stwarzałby warunki intensywnego rozwoju budownictwa mieszkaniowego. Niezbędne jest ugruntowanie takich mechanizmów ekonomicznych, które sprzyjałyby opłacalności budownictwa mieszkaniowego, a także stwarzałyby niezbędny czynnik stabilności w sferze organizacyjnej i ekonomiczno-finansowej zarówno wśród inwestorów jak i wykonawców.

Wydaje się, że sformułowane ostatnio przez ministra gospodarki przestrzennej i budownictwa kierunki polityki mieszkaniowej, stwarzają realne podstawy do prawidłowego rozwiązania tych nadbrzmiających kwestii.

Rzecznik prasowy wojewody legnickiego
mgr ROGER PIASKOWSKI



HYDE PARK

ESPERANTO ZAMIAST ROSYJSKIEGO

Od pewnego czasu dużo mówi i pisze się o Europejskim Wspólnym Domu. Jak podają w środkach masowego przekazu, ma powstać kontynent na wzór USA. — Stany Zjednoczone Europy. Granice państw byłyby przepuszczalne. Polska może włączyć się do takiej Europy, ale po osiągnięciu równowagi gospodarczej, a do takiej dopiero zaczęliśmy zmierzać. Gdy Polska po takim okresie przejściowym dorówna krajom z gospodarką ustabilizowaną, będzie mogła być członkiem Europejskiego Wspólnego Domu. Wówczas Polacy będą mogli poruszać się po Europie swobodnie.

Powstaje w tym miejscu następna trudność, bariera językowa. Obywatele Europy władają ponad dwudziestoma językami. Takiej ilości języków obcych nie każdy jest w stanie nauczyć się najwięcej dwa lub trzy, co rzadziej się zdarza. W obozie krajów socjalistycznych, by ułatwić porozumiewanie się między obywatelami poszczególnych państw, wprowadzono w szkołach obowiązkowe nauczanie języka rosyjskiego. Język ten, jako język urzędowy używany jest na wysokich szczeblach o randze międzynarodowej w organizacjach takich, jak RWPG czy Układ Warszawski. My, zwykli obywatele najniższego szczebla, próbujemy tym językiem porozumieć się ze zwykłym mieszkańcem Węgier, Rumunii lub NRD. Czy dogadalibyśmy się? Wątpię. Dzieci i młodzież w większości uczą się tego języka, ale tylko dlatego by nie otrzymać oceny niedostatecznej, a tylko nieliczni dla wiedzy. Brak ekonomiczny tej edukacji można porównać do parowozu, do którego jed-

zie się węgeli, w wyniku czego uzyskuje się 15 proc. energii słowej, a pozostałe 85 proc. energii cieplnej emituje w atmosferę. Pisząc o tym, nie występuję tu jako kategorię przeciwnik języka rosyjskiego. Jest to język ojczysty narodu rosyjskiego i nie jest to jego wina, że został narzucony innym krajom, ale tych, co nim rządzą. Nie jestem też zwolennikiem palenia ksiązek jak do tego nawołują niektórzy zgrupowania w innych regionach kraju. Część ksiązek mogłaby zasilić składnice surowców wtórnych, część trafić do muzeów szkolnictwa, a pozostała część może jeszcze służyć tym, co chcą się tego języka uczyć, ale już nieobowiązkowo.

Obecny papież Jan Paweł II na uroczystościach religijnych do swoich wierznych przemawia w kilkunastu językach. Niewielu jest ludzi mogących posłać umiejętności tylu języków. Do zakupionego sprzętu z importu załączona jest instrukcja obsługi w kilku językach. Nieraz trafia się zakup jakiegoś sprzętu prod. radzieckiego i załączona instrukcja obsługi tylko w języku rosyjskim. Wtedy zaczyna się kłopot. Chodziło się do szkoły, uczyło się i nie można nie zrozumieć. Ja sam nie jestem lepszy. Uczono mnie tego języka w szkole podstawowej, zawodowej i średniej, mimo to jestem dzisiaj w tym sensie półanalfabeta. Zdaje mi się, że w takiej sytuacji w Polsce nie jestem jedyny. Gdzieś w Europie odbywa się jakaś konferencja prasowa, z udziałem dziennikarzy z różnych krajów. Wśród dziennikarzy niektórzy mają jeden lub dwa języki obce. Dla innych trzeba zatrudnić tłumaczy. Znamosze języków obcych dotyczy nie tylko dziennikarzy, ale też i naukowców różnych dziedzin. Wiadomo, naukowcom mając za sobą edukację wyższą, musi znać jakiś język obcy. Gdy jest jakiś zjazd naukowców z różnych krajów Europy, a gdzieś prowadzi Albańczyk w swoim języku, wówczas trzeba zatrudnić kilkunastu tłumaczy. W sierpniu br. odbył się w Lublinie mecz piłki nożnej Polska — ZSRR. Spiker studia GOS ogłaszał komunikaty w dwóch językach, tak żeby zrozumieć go dalsze sportowcy ZSRR i dziennikarze zagraniczni, znający język angielski. Ostatnio coraz głośniejszy i śmiejeł toczy się kampania na rzecz usunięcia języka rosyjskiego ze szkół. Jaki język

wprowadzono by w to miejsce — angielski, francuski, niemiecki? Powstałyby szkoły francuskie, niemieckie itp. Czy w związku z dążeniem krajów Europy do zjednoczenia się, nie można by było wprowadzić do szkół jednego języka o znaczeniu międzynarodowym i łatwego do naucezania się?

Pisząc o tym nie jestem przeciwnikiem uczenia się języków poszczególnych krajów, ale niech to będzie tylko dla celów językoznawstwa. Zamierzaniem Ludwika Zamenhafa było, aby język, który wynisł i opracował w oparciu o różne języki europejskie, służył ludziom różnych narodów po to, by mogli się ze sobą porozumieć. By mieszkańcy różnych narodów mogli ze sobą nawiązywać kontakty na płaszczyznach zawodowych, sportowych, dyplomatycznych i przyjacielskich. My, Polacy powinniśmy język esperanto masowo rozpowszechnić, wprowadzając do szkół jako przedmiot obowiązkowy. Powinniśmy też szeroko zareklamować w innych krajach i zaproponować masowe nauczanie. Myślę, że i młodzież chętnie uczyłaby się tego języka, wiedząc, że można nim porozumieć się z mieszkańcami różnych krajów Europy. Nawet rodzice uczniów skorzystaliby na tym, ucząc się z podręczników esperanto swoich dzieci. A więc zadanie domowe z tego przedmiotu odrabiane byłoby z korzyścią dla dzieci i rodziców.

Dotychczasowa działalność esperantystów ma skromną skut. To ruch amatorski. W prasie ukazują się tylko krótkie informacje, że coś takiego odbyło się, bez dalszego echa. Język esperanto nie doczekał się jeszcze wykładów na wyższych uczelniach kursów w Polskim Radiu i Telewizji, jakiegos pisma, miesięcznika czy tygodnika i trudno też jest nabyć podręcznik. Jestem za tym, aby w Lublinie np. nowo wybudowaną szkołę nazwać imieniem Ludwika Zamenhafa i tam wprowadzić esperanto jako przedmiot obowiązkowy. Następnie w miarę pozyskania podręczników i nauczycieli, stopniowo wprowadzić do innych szkół. Pisząc o tym, sam tego języka nie znam. Moja wiedza — niestety dość skromna — wywodzi się z przeczytanego bardzo nielicznych publikacji na ten temat. Gdyby udało się ten język rozpowszechnić na polacy międzynarodowo, wówczas my Polacy moglibyśmy

być dumni z tego, że język międzynarodowy jest rodem z naszego kraju.

Na zakończenie chce poruszyć sprawę o naszym języku polskim. Adam Mickiewicz w swoich utworach potrafił wyrazić, że nasz język ojczysty jest bardzo piękny i bogaty. Czy dzisiaj nasz język ojczysty jest aż tak prymitywny, że musimy przywłaszczać sobie słowa obce? Wyraziłem się „przywłaszczać” gdyż często w środkach masowego przekazu mówi się „zapożyczono”. Jeśli tak to kiedy oddamy? W średniowieczu Polak musiał wykazać się znajomością łaciny, ślad wiele słów przekradło się do naszego słownictwa. W okresie Odrodzenia była modna francuszczyzna; z tego okresu też mamy wzbogacone słownictwo naszego języka. Dzisiaj duży zasób słów przechodzi do nas poprzez technikę, np. elektronikę. Czy np. tranzystory nie mogą być dodatnie i ujemne, zamiast npn i pnp itp. Obecne słownictwo wkrada się do nas też poprzez ekonomię i politykę. Dzisiaj żeby rozumieć poglądy teoretyków różnych dziedzin, trzeba być posiadaczem wielotomowej encyklopedii powszechnej lub słownika wyrazów obcych. Nie każdego na taką literaturę stać, żeby przetłumaczyć sobie z polskiego na nasze. Technicy, ekonomiści, politycy, wyrażając swoje poglądy w środkach masowego przekazu, podpisują się już takim słownictwem i zwrotami że coraz trudniej ich zrozumieć. Przecież odbiorcami takich programów są ludzie o różnym poziomie wykształcenia. Niektórzy tego już nie chcą słuchać lub czytać, bo i tak coraz trudniej jest zrozumieć. A szkoda, może byłoby więcej słuchaczy, czytelników, a co za tym idzie więcej byłoby zwolenników reformy politycznej i ekonomicznej.

Myślę, że trzeba zaangażować leżną armię polonistów, którzy przeprowadziliby czystkę w naszym słownictwie, by wyrazić obce oddać właściwym krajom i zastąpić naszym polskim słownictwem. Poloniści musieliby stać na straży celnej i pilnować, by anowu jakieś słowo zagraniczne nie przemyciło się do nas. Wspominałem o tym, by po pewnym czasie nie zaistniała konieczność ponownego angażowania polonistów w celu opracowania języka... międzypolskiego.

JERZY KOTYK

TO, ŻE GRZES

znajduje się dziś w legnickim Państwowym Pogotowiu Opiekuńczym zawdzięcza wyłącznie sobie. Jest winny, bo jest dzieckiem trudnym, mimo dobrego traktowania. Tak przynajmniej twierdzi ojciec chłopca. "On też autorytatywnie ustalil, że roczny pobyt w placówce odmieni syna i po tym okresie problemów dydaktycznych i wychowawczych z nim już nie będzie. Czy rzeczywiście? Wychowywany od drugiego roku życia bez matki, w domu pozbawionym ciepła i serdeczności wykazuje poważne zaburzenia w sferze emocjonalno-społecznej. Na pewno nie sprzyja ich łagodzeniu fakt całkowitego odrzucenia przez rodzinę. Tak, rodzinę, bo Grzesz poza ojcem ma babcię, ciotkę, siostrę... Właśnie, siostrę. To wraz z nią trafił pewnego majowego dnia do pogotowia. Miała więcej szczęścia, a może jest lepsza, zdolniejsza, miłsza... W każdym razie to ją ojciec zabrał do domu po powrocie z mocno przedłużonego pobytu na Zachodzie. Grzesia przestał odwiedzać, a jego listy pozostawił bez odpowiedzi. Pojawił się po trzech długich miesiącach, gdy do sądu, za sprawą pogotowia, wpłynął wniosek o pozbawienie go, i tak już ograniczonej, władzy rodzicielskiej. Ostatnio nawet zabrał chłopca do domu.

Powroty do rodziny Grzesz bardzo przeżywa i koniecznie musi się z kimś podzielić wrażeniami. Problemy w nawiązywaniu kontaktów z rówieśnikami wykluczają zwierzanie się kolegom. Na szczęście jest pani pedagog. Bo Grzesz uczestniczy w indywidualnych zajęciach terapeutycznych. Po kilku miesiącach intensywnej pracy rozwój zaburzonych funkcji analizy i syntezy wzrokowej i słuchowej postępuje pomyślnie. Pozwala przypuszczać, że chłopiec ukończy powtarzaną w szkole pogotowia drugą klasę. Grzesz właściwie mógłby już nie uczestniczyć w ćwiczeniach, ale... pozbawiony rodziny przywiązuje się do pracowników placówki. Ogromna chęć posiadania kogoś bliskiego popycha do kłamstwa. Chłopiec udaje więc, że nie potrafi np. przeczytać wskazanego tekstu. Co prawda pozbawia się w ten sposób nagrody, za to wymusza coś cenniejszego — następne spotkanie we dwoje. A jeśli o spotkaniach mowa — Grzesz bardzo chciałby poznać swoją mamę, jakby podświadomie upatrując w niej oparcia i wyzwolenia od dziecięcej samotności.

W przeciwieństwie do Grzesia **LESZEK** nie sprawia kłopotów wychowawczych. Jest wrażliwy, uczuciowy, grzeczny, lubiany przez pracowników placówki i kolegów. Mimo blisko rocznego pobytu w pogotowiu i pełnej akceptacji — tęskni do środowiska, w którym żył dwanaście lat. Tęskni z wzajemnością. Jest kochany i oczekiwany — przez wujka. To on zajął się chłopcem po śmierci jego opiekunki — babci. Katastroficzne warunki materialne i higieniczne wiejskiego domu samotnego mężczyzny zniweczyły wysiłki, by ojc razem na stałe. Nie udało się. Leszek, jak większość dzieci w pogotowiu, ma oboje rodziców, jak niewiele z nich jasną sytuację prawną — pozbawienie władzy rodzicielskiej matki i ojca, i uczuciową — od dawna żadnych więzi emocjonalnych z nimi. Mogłoby już dawno znaleźć się w domu dziecka. Mogłoby, gdyby nie ogromne zaniedbania pod względem dydaktycznym. Za ich przyczyną dwunastolatek brnie dopiero przez zawilości trzeciej klasy. Ale Leszek z uporem wspieranym wręcz cudotwórczymi pochwałami wychowawców nadrabia zaległości. Wspólne działania nauczycieli w szkole, wychowawcy w grupie i pedagoga podczas indywidualnych zajęć terapeutycznych przynoszą dobre efekty. Można przypuszczać, że będzie tak da-

lej. Przecież Leszek mimo wszystko jest szczęściarzem! Ma dokąd jeździć, ma z kim dzielić się swymi radościami!

RADEK, MICHAŁ I KASIA też odwiedzają dom, tyle, że... nielegalnie. Uciekają. Radek — bo mama w ciąży i trzeba jej pomóc, Kasia — przed nauką, a wszystkie — z tęsknoty. Ta ich tęsknota to prawdziwe utrapienie, zwłaszcza dla... matki, która niezwłocznie odwozi uciekinierów do pogotowia. Odwozi z pretensjami do pracowników pogotowia, że sami nie zadbać o powrót dzieci, tylko zwlekają. Uważa, że dlatego, by sprawić jej dodatkowy kłopot. Na szczęście z trójką pozostałych, i tym w szkole specjalnej z internatem, i dwójką w domu małego dziecka, nie ma takich problemów. Dzięki temu obowiązki rodzicielskie (zresztą ograniczone przez sąd), to coś zupełnie iluzorycznego, zaś

Los czy Temida, to w gruncie rzeczy nieistotne, gdy w grę wchodzi utrata władzy rodzicielskiej. A tę odebrano jakby z rozpedu, przy okazji, poza plecami, bez spojrzenia w twarz. Przecież gdyby wiedział, stawilby się w sądzie — na pewno. Tylko czy w czymkolwiek zmieniloby to sytuację dzieci wychowywanych dotąd w katastroficznych warunkach? Pozbawionych opuszczającej je na długie dni matki i zapracowanego, niezaradnego życiowo ojca? Dzieci nie nauczonej choćby podstawowych czynności higienicznych, niejednokrotnie głodnych, chorych — dziś chłopców z niedowagą i zbyt małym wzrostem, o twarzach starców? A mogło być inaczej. Wystarczyłoby choć niewielkie zainteresowanie, pomoc, wcześniejsza reakcja ze strony szkoły. Przecież bracia przez ostatni rok zaledwie kilka razy zajrzeli do niej! Dziś



W CIENIU

HANNA GŁOWACKA

nadmiar wolnego czasu — realnym faktem. Ow czas to niezmiernie rzadko — dorywczo zarobiony pieniądź, częściej — alkohol. Dla niego ojciec rodziny porzucił stałą pracę i przyjął jak wiasny, styl życia żony, nie przewidując utrzymywania dzieci i opieki nad nimi. Na nic zdali się wieloletnie, intensywne zabiegi szkoły i nieugiętość kuratora. Cała szóstka znalazła się poza domem. Szkoda, że tak późno. Trójka z pogotowia stanowi bowiem smutny dowód na to, jak decydujący wpływ na rozwój dziecka — nie tylko intelektualny — ma najbliższe środowisko. Ono to nie wpoiło rodzeństwu elementarnych zasad higieny, estetyki i samoobsługi. Nie zareagowało na zalecaną przez szkołę już w pierwszej klasie konieczność wyrównywania przez Radka opóźnień w rozwoju w zespołach reedukacyjnych. Dziś trzynastolatek jest uczniem piątej klasy, tej, w której winna znaleźć się jego siostra, gdyby właśnie nie powtarzała klasy czwartej. Jak do niej dobrać dla kompletnego braku znajomości znaczenia wielu podstawowych słów i pojęć — trudno dociec. Nie przyzwyczajona do wysiłku umysłowego, stara się wymknąć spod kontroli wychowawców mając za nic szkolny obowiązek. Ten sam, który odroczone jej młodszemu bratu.

ŁUKASZ, OLEK I ALA w przeciętnej statystycznie rodzinie mieliby jedynie przeciętne szkolne problemy. Ale los zadzwili z nich. Podobnie jak z ich ojca.

mówi się o rodzeństwie, że choć bardzo zaniedbane, nie jest trudne wychowawczo. Cała trójka, miła, pogodna, grzeczna, chętnie się uczy: Łukasz w szóstej zamiast w ósmej klasie, Olek powtórnie w pierwszej, Ala bezproblemowo rozpoczęła „zerówkę”.

Choć życiorysy „przechowywanych”

W PAŃSTWOWYM POGOTOWIU OPIEKUNCZYM są różne, łączy je jedno — konieczność zapewnienia wychowancom całkowitej opieki bądź odizolowania ich od dotychczasowego środowiska. Niepokoi, że coraz częściej trafiają tu dzieci z rodzin bardzo zaniedbanych, alkoholizujących, rozbitych, o wyraźnym niżu intelektualnym — ale, co pracownicy pogotowia podkreślają jednomyślnie, w większości dobre, chłonne, wychowujące konieczność i pragnące własnej przemiany. Na pomoc w tej ostatniej mogą liczyć. Zapewni ją pracujący z poświęceniem personel pogotowia. Nauczyciele — w szkole. Oni oceniają poziom wiadomości i umiejętności każdego ucznia, opóźnień i braków w zakresie nauczanego przedmiotu. Dostosują formy i metody kształcenia do jego potrzeb i możliwości, poprowadzą naukę wyrównawczą.

Wychowawcy — w powierzonej im grupie zorganizują całonocną pracę opiekuńczo-wychowawczą tak, aby przyniosła maksymalne efekty. I choć stworzą rodzinny dom tylko na niby, to wysłuchają, uważają się, pochwalają, pomagają, do-

radzą — jak w prawdziwym... Psycholodzy i pedagodzy — właściwymi dla swych specjalności metodami wykryją źródła i uwarunkowania szkolnych niepowodzeń, przyczyny zaburzeń rozwojowych i trudności wychowawczych dziecka. Wybiorą najwłaściwsze metody oddziaływania na nie. Jeśli będzie konieczne zastosują zajęcia psychoterapeutyczne, dydaktyczno-wychowawcze lub korekcyjne.

Z dobrymi początkami reedukacyjnymi i ustaloną diagnozą psychopedagogiczną oraz zaleceniami dotyczącymi dalszego postępowania dziecko trafi do placówki opiekuńczo-wychowawczej, wskazanej przez zespół diagnostyczno-kwalifikacyjny pogotowia. PPO ma charakter diagnostyczno-kwalifikacyjno-rozdziałczy i zapewnia jedynie doraźną opiekę, do trzech, maksymalnie sześciu miesięcy. Łamie się tę zasadę jedynie w szczególnych przypadkach, uzasadnionych wyjątkowymi zaniedbaniami i nieprawidłowościami rozwojowymi.

Tak więc wychowankowie wyposażeni przez tę placówkę w odzież, bieliznę, obuwie, środki higieny osobistej, pomoce szkolne i wszelkie przedmioty niezbędne do codziennego życia — opuszczają ją. Ich dotychczasowe wysiłki i starania wychowawców procentować będą w domach dziecka, ośrodkach szkolno-wychowawczych bądź środowiskach zastępczych. Będą lub nie. Zdarza się bowiem, że sąd zwraca dziecko rodzicom. I choć można rozumieć intencje trybunału spełniającego niewątpliwie niewdzięczną misję reanimowania najczęściej już martwej podstawowej komórki, to trzeba też wczuć się w sytuację dziecka — żywego, wrażliwego organizmu. Arbitralne decyzje w majestacie prawa nie mogą dawać szansy wyrachowaniu dorosłych, odbierając ją niekiedy całkowicie ich dziecku. Przywracanie władzy rodzicielskiej winno być aktem dogłębnie przemyślanym, wszechstronnie przeanalizowanym wspólnie z Pogotowiem Opiekuńczym. Inaczej aranżowanie powrotów do własnego domu jest równoznaczne z zaprzeczaniem szansy na reedukację, a niekiedy i resocjalizację, a także pogłębianiem i tak niepokojącej już w woj. legnickim tendencji obniżania się wieku demoralizacji młodzieży.

Zjawisko to sygnalizowane było przez pogotowie kilka lat wstecz. Już wtedy bowiem kłopoty wychowawcze sprawiali czwarto-, piątkoklasiści. Nie dawano temu wiary. Spotkania poświęcone zwalczaniu przestępczości obfitowały w gadulstwo i statystykę. Dziś notorycznymi złodziejami są siedmio-, ośmiolatkowie. Co ich czeka jutro? Najpierw — ośrodek wychowawczy — dopóki nie ukończą szkoły podstawowej. Później — powrót do środowiska, w którym wyrósł.

Podobnie czekają na faktyczne objęcie oświatą dzieci z pogranicza upośledzenia, z zaburzeniami uniemożliwiającymi im opanowanie przewidzianego programu nauczania. Ich problemów nie rozwiązują zajęcia wyrównawcze, a niepowodzenia w szkole, dwu- lub trzyletnie opóźnienia w stosunku do rówieśników zniechęcają, skłaniają do szukania innych sposobów samorealizacji, nie zawsze zgodnych z prawem. Tymczasem wystarczyłoby dla tych dzieci stworzyć odpowiedni system kształcenia i od szóstej klasy wprowadzić uzawodowienie. Prawa do przyspieszenia nauki zawodu nie musiałby potwierdzać wówczas dwukrotnym powtarzaniem klasy bezpowrotną stratą dwóch lat...

Tak wiele uwagi poświęcamy prawom pięcioletniego dziecka. Może choć jej odrobinkę zwrócimy na te już narodzone?...

* Imiona wychowanków PPO zostały zmienione.

SPROSTAĆ ZAGROŻENIOM



Fot. Jerzy Kosiński

Z dr. inż. BOGDANEM CWiĘKIEM, dyrektorem Centralnej Stacji Ratownictwa Górniczego w Bytomiu, rozmawia Bogusława Machowska.

● W górnictwie, od jego zamierzchłych początków, ludzie ginęli, ulegali wypadkom, potrzebowali pomocy. To zadziwiające, że mimo iż po zasoby przyrody człowiek wyciąga zachłannie ręce od wieków, dopiero w początkach naszego stulecia zorganizowano pierwsze służby ratownicze. W 1907 r., z inicjatywy i za pieniądze Spółki Brackiej (Tarnowskie Góry) w Bytomiu powstała pierwsza na świecie Główna Stacja Ratownictwa Górniczego...

— Trzeba było wieków, aby ludzie wywalczyli sobie prawo do godnej i bezpiecznej pracy. Ratownictwo górnicze istniało od bardzo dawna, ale ratownictwo działające w sposób zorganizowany ma rzeczywiste krótką historię. Od kilku zaledwie dziesięcioleci można mówić o koordynowaniu akcji ratowniczych, o ich przygotowaniu, o wypracowywaniu kierunków i metod ratowniczego działania. Nareszcie nie dorażność, a myślenie perspektywiczne wzięło górę. Było to możliwe dlatego, że ratownikom przyszła z pomocą nauka, technika, górnicza wiedza. Dzisiaj możemy sterować rozwojem ratownictwa górniczego, gdyż korzystamy z osiągnięć przemysłu — trudno zresztą wyobrazić sobie sytuację odwrotną. Ale jednocześnie stało się tak, że to możliwości ratownictwa w znacznym stopniu ratują obecnie na rozmiary i zakres wydobywania: jeśli ratownicy nie są w stanie sprostać pewnym zagrożeniom, to przemysł musi zrezygnować z pozyskiwania złóż, bo to groziłoby katastrofą.

● W polskim przemyśle wydobywczym pracuje ponad pół miliona ludzi, zaś ratownictwo górnicze tworzy grupa 11 tysięcy osób z kopalnianych drużyn ratowniczych i 140 ratowników zawodowych z centralnej i okręgowych stacji ratownictwa górniczego. Oprócz osób czynnie uczestniczących w akcjach ratowniczych działalność ratownictwa swoją wiedzą i pracą naukową wspiera liczne

grono naukowców, specjalistów, praktyków górnictwa. Jak wobec tego odbywa się sterowanie działaniami polskiego ratownictwa górniczego?

— Jest ono bardzo wielokierunkowe. Centralna Stacja Ratownictwa Górniczego w Bytomiu jest jedyną instytucją w kraju, odpowiedzialną za działalność ratowniczą w całym przemyśle wydobywczym. I węgiel, i rudy, i siarka, i nafta, i gaz, i sól — jednym słowem wszystko, co się w Polsce wydobywa techniką górniczą, podlega zabezpieczeniu ratowniczemu, które koordynuje CSRG. W jaki sposób? Odpowiadamy za organizację ratownictwa, za wyposażenie w sprzęt produkowany w kraju i za granicą, za szkolenie. Odpowiadamy także za inicjowanie szerokiej i wszechstronnej współpracy z zapleczem naukowo-badawczym górnictwa. Przykłady? Podjęliśmy temat opracowania sposobu zabezpieczenia wyrobisk przed przeniesieniem się skutków wybuchu pyłu węglowego do wyrobisk czynnych.

Temat tam przeciwwybuchowych, o wzmocnionej konstrukcji, opracowywaliśmy wraz ze specjalistami z Wojskowej Akademii Technicznej. Po próbach w kopalni doświadczalnej „Barbara” w Mikołowie projekt rozwiązania uzyskał akceptację, będzie wdrażany. Albo sprawa łączności między ludźmi w wyrobiskach oddalonych od ratowników korymkami wodnymi, płaskowymi, mułowymi czy żużlowymi: opracowany został system łączności telefonicznej z wykorzystaniem zjawisk akustycznych. Wraz ze specjalistami z Politechniki Gdańskiej i Szczecińskiej prowadzone są obserwacje wydolności ratownika biorącego udział w akcji ratowniczej w wysokich temperaturach — to istotna wiedza dla prowadzących akcje, wiedza pozwalająca wycisnąć z ratownika z rejonu zagrożenia, nawet jeśli on sam nie zdaje sobie sprawy ze stopnia wyczerpania swego organizmu. Albo temat za-

bezpieczenia pracy ratowników górniczych pletwonurków, których trzeba bezpiecznie przeprowadzić przez pełne przeszkód zatopione wyrobiska kopalń — trwają prace nad opracowaniem specjalnego systemu łączności i sygnalizacji. Przykłady można byłoby mnożyć, obecnie prowadzimy 30 tematów wraz ze specjalistami różnych dziedzin. Nasza wspólna praca służyć ma poprawie bezpieczeństwa i górnictwa, i górników. Efekty tej współpracy służyć będą także nam, ratownikom.

● Niektórzy pytają, komu w rzeczywistości bardziej służy ratownik górniczy: górnikom czy górnictwu...

— Ratownik przede wszystkim służy człowiekowi — ma chronić jego życie, zdrowie. Ale powołany jest także po to, aby zabezpieczyć wszystko, co wiąże się z możliwością dalszego zarabkowania. Czy jednak mają sens pytania: komu służy ratownik? Czy nie bardziej istotne jest zastanowienie nad tym, że przecież ratownik to człowiek, który absolutnie dobrowolnie podejmuje się pracy tam, gdzie każdy inny pracownik górnictwa chroniony jest wieloma przepisami, zarządzeniami, aktami prawnymi. Choćby za to, że w czasie akcji ratowniczej nie stawia pytań: po co, komu i czy rzeczywiście potrzebna jest ta ofiarność, za usługuje górniczy ratownik na najwyższe słowa uznania, na najwyższe uhonorowanie swej odwagi, na najwyższe wynagrodzenie.

● O pieniądzu może za chwilę...

— ...ale ja wcale nie mówię o pieniądzu! Przede wszystkim myślę o randze zawodu ratownika górniczego. Już tak jakos jest, że tych ludzi widzi się dopiero wówczas, kiedy powiedzie się (lub nie) akcja ratownicza. Na co dzień mało kto o ratownikach pamięta, może dlatego, że ludzie unikają ciężaru kojarzącej się z tym zawodem odpowiedzialności? Pieniądze... Owszem, przychodzą do ratownictwa wie sie, że za udział w akcji ratowniczej będą spore pieniądze, ale przecież nie dlatego ludzie podejmują takie ryzyko.

● Cóż jest wobec tego w tym zawodzie takiego, że przyciąga ludzi do pracy w miejscach, od których wszyscy inni uciekają? Co każe im uciekać instynkt samozachowawczy i przez ogień, wodę, pod groźącą oberwaniem skałą prą ku drugiemu człowiekowi? Przecież to niemożliwe, aby byli wolni od uczucia strachu...

— Każdy ratownik wie, co to strach, ja też się bałem, bo wiedziałem, co mi zagraża. Strach w ratownictwie to rzecz normalna. Walczy się z tym uczuciem tym łatwiej, że każdy ratownik wie, że w czasie akcji nie działa w pojedynkę, że obok są koledzy z zastępu, że na nich można w chwili zagrożenia liczyć. Ta świadomość pomaga przezwyciężyć lęk, a dlatego się to robi? Nie potrafię mówić wielkimi słowami o ratownictwie, bo wielkich słów trzeba użyć mówiąc o ratowaniu życia drugiego człowieka...

Nie każdy górnik zostanie ratownikiem, nawet jeśli bardzo tego pragnie. Selekcja do zawodu jest niezwykle ostra i wielokierunkowa. Po pierwsze kierownik oddziału, na podstawie opinii współpracowników ochotnika, musi rozpoznać predyspozycje psychiczne: ocenić odwagę, koleżeńskość, refleks, myślenie decyzyjne. Jeśli opinia jest pozytywna, wkracza lekarz zakładowy. Dokładnie analizuje kartotekę górnika, bada jego organizm. Jeśli nie ma zastrzeżeń, kieruje na badania do lekarza CSRG. Kto przejdzie przez te tzw. drogi krzyżową badań w stacji, wraz z doświadczeniami w komorze wysokich temperatur, ten dostanie lekarski certyfikat, że jest zdrowy i może zostać skierowany na szkolenie ratownicze. Po szkoleniu jeszcze tylko egzaminy z wiedzy i może złożyć orzeczenie

● dobrowolnej przynależności drużyny ratowniczej, o podporządkowaniu się ratowniczej dyscyplinie. Tak zostaje się kawalerem krzyża maltańskiego...

● Czy w innych krajach selekcja ratowników przebiega podobnie? Czy mógłby pan porównać skuteczność polskiego ratownictwa górniczego z tym, czym dysponuje świat?

— Miałem okazję zapoznać się z problematyką ratownictwa wielu krajach, widziałem i czułem, że w innych krajach, w innych warunkach, zupełnie zaniedbane są ratownicze kraje. Z całą odpowiedzialnością mogę powiedzieć, że polskie ratownictwo zalicza się do najlepszych w świecie. Nasi ratownicy potrafili tak wiele dzięki temu, że nasze górnictwo działa w warunkach wszelkich możliwych zagrożeń — przyroda nie oszczędza nam ani tąpnięć, ani nadmiarów wody, gazu, wybuchów, pożarów, często są pożary, samozapalenia i inne katastrofy. Niech górnicy zagłębia miedziowego nie wydawają się, że pracują w wyjątkowo sprzyjających warunkach: połykały się przecież i pożary, chłodziły na zdrowy rozum ruda nie powielała się palić, ale groziła coś znaczącego, nie gorszego: tąpnięcia.

Zagłębie miedziowe to jeden z najbardziej niebezpiecznych pod względem regionów na ziemi. a niebezpieczeństwo powiększa niebezpieczeństwo, że brak możliwości przeciwdziałania. Ratownicy górnicy potrafili wiele, ale to często teraźniejszość, a nie przeszłość, która była, żywiłem. Powiedziałem, że należałoby do czołówek światowej ratownictwa górniczego — stała się tak z kilku powodów.

Potrąfiliśmy opanować podstawowe technologie produkcji sprzętu zabezpieczającego i ochronnego, który może konkurować z wyrobami firm zachodnich. Sprzęt, który aktualnie dysponują służby ratownictwa górniczego, zapewnił możliwość podjęcia każdej akcji ratowniczej w kopalniach (przy okazji dodam: w każdej chwili, tak po dzień woli, jak i w dzień pracy, w stałej gotowości w kopalniach kole znajduje się 600 ratowników). To wyposażenie uzupełniane jest stale nowymi nowoczesnymi i specjalistycznymi środkami, materiałami i urządzeniami, sprowadzonymi z zagranicy.

Odrębną kwestią są zagadnienia metodyczne. To właśnie Polacy opracowali wiele działań i rozwiązań w dziedzinie organizacji, tworząc spójny system bezpiecznej pracy w kopalni. Profesorowie Czesot i Budryk byli autorami nowoczesnych zasad wentylacji kopalń, zasad opanowywania pożarów, rozkładu poznawania ich skutków, prof. Ciesielski doprowadził do opracowania systemu zabezpieczenia przed wybuchami pyłu węglowego — te rozwiązania przejęły od nas światowe ratownictwo.

Dzisiaj profesorowie Bystron, Frycz, Waclawik, Roszkowski, wysuwa i wykorzystując techniki komputerowe przenoszą tamte doświadczenia do realia dzisiejszych, bardzo rozległych, a więc i znacznie bardziej niebezpiecznych kopalń. Tak wielką wieloma rozwiązaniami ratownictwa możemy się szczycić. Stąd nie tylko w kraju, ale wszędzie tam, gdzie nas o to poproszą.

● Dlaczego więc to nie polskie ratownictwo wydobyl z syfonów w kopalni Bystra jugosłowiańskich pletwonurków? Dlaczego tak późno dotarła do Armenii ekipa polskich ratowników, których pomoc okazała się po prostu obojętna zmarłym?

— W przypadku Jugosłowiańczyków ratownicy nie prosili o pomoc, podobnie w grę wchodziły jakiegokolwiek ambicje, nie chcą tej sytuacji komentować, wówczas jeszcze CSRG nie pracowałem. Przypadek ten bardzo przykra i niepotrzebna historia. A Armenia — cóż, pomogliśmy, zaoferowaliśmy natychmiast, reszta już nie od nas zależała...

● Dziękuję za rozmowę.

II. Stygmaty

po powrocie do hotelu nie zmrumiłam oka przez całą noc, a o piątej zadzwonił telefon. Dzwonił mój ojciec, Saltamerenda, kolega z lat młodych, obecnie lekarz, dyrektor Instytutu Bioterapeutycznego w Genoi, który oznajmił mi dziwną wiadomość: „Kiedy wczoraj wieczorem przechodziłem placem w Ferrari (gdzie znajdowała się wystawa) nagle owionął mnie zapach, jaki spowiada O. Pio”. Zaczęłam mu gwałtownie: „Czy ten zapach może dostawać perfum dla O. Pio?”. „Nie bierz mnie za głupca”, odparł Saltamerenda — „najmniej nie w tym wypadku. Wierzę, że idąc placem De Ferrari poczułem nagle zapach, który czuję się w pobliżu tego świętego zakonnika. Zrobiłem kilka kroków: zapach zniknął. Wróciłem do domu i dokładnie w tym samym miejscu pojawił się znów. Popatrzyłem przed siebie i strzeżem na wprost wielki afisz przedstawiający twoją wystawę. Pojechałem jeszcze po placu i teraz miałem wątpliwości. Zapach na O. Pio pojawiał się tylko wtedy, gdy patrzyłem na afisz twojej wystawy. Wróciłem do domu, nie mogłem usnąć i myślałem, że muszę do ciebie zadzwonić”. Cierpko słuchałem tego wszystkiego, teraz nie wytrzymałem: „Powiedz mi w końcu, czego chcesz ode mnie?”. „Ja nie chcę niczego, tylko Ojciec Pio czegoś od ciebie chce”.

Wydumiało mnie to tym bardziej, że znałem Saltamerendę jako ateistę z przekonania. Nie wiedziałem, że przeżywszy niezwykle ciężkie doświadczenia wojenne, stał się jakiegoś do O. Pio, nawrócił, że co więcej — został jego drugim synem.

Wróciłem do siebie, do Mediolanu, zanurzyłem się cały w pracy, ale po dwóch tygodniach nie wytrzymałem i zadzwoniłem do mojego kolegi: „Musimy jechać do O. Pio”. Ten braciszek nie daje mi spokoju.

Pojechaliśmy do San Giovanni Rotondo. „Czego chcesz?” zapytał O. Pio. „Pragnę poznać Ojca. Jestem szczęśliwy, że tu jestem. Wkładaj się w ręce Ojca”. Na to on: „Jesteś w dobrych rękach”. A potem kazał nam zejść do kościoła, na spowiedź. Nie chciałem się spowiadać, nie byłem do tego przygotowany, ale O. Pio nie dał mi czasu na protesty: już go nie było.

Po chwili, już przy konfesjonale, powiedziałem mu, że nie czuję się gotowy do spowiedzi, lecz on odpowiedział: „Nie mów nic, tylko odpowiadaj na moje pytania”. I zaczął namieniać wszystkie moje grzechy, nieprawdopodobną dokładnością wysłuchał i okoliczności. Wydawał się wchodzić w moją duszę.

Nazajutrz rano wysłuchałem mnie przyjął komunie i wtedy zagnałem się z O. Pio, ten odpowiedział: „Dopiero pan przybył i już się żędza?”. „Mam wiele zajęć w Mediolanie, ale wkrótce znowu wrócę”. Odtąd O. Pio stał się dla mnie prawdziwym ojcem, duchowym kierownikiem... Biegłem do niego, kiedy tylko mogłem. Jak rzekłem, nie byłem wrażliwym na opowieści o cudach O. Pio, których pisano i opowiadano. Mnie jego świętość wpływała z jego życia i postępowania. Jednak i ja stałem się świadkiem niewymagalnego faktu, o którym nigdy dotąd nie mówiłem. Odtąd bardzo przyjaźniłem się z Giovannim Papinim, wielkim pisarzem i myślicielem katolickim, który w 1956 roku. Był on przez wiele lat całkiem sparaliżowany. Nie mógł mówić, a jedyny kontakt ze światem miał dzięki awemu oku, którym widział i słyszał, choć z trudem, przeczytać kilka słów, co sprawiło mu ogromne zadowolenie. Pewnego dnia zadzwoniła do mnie jego żona i

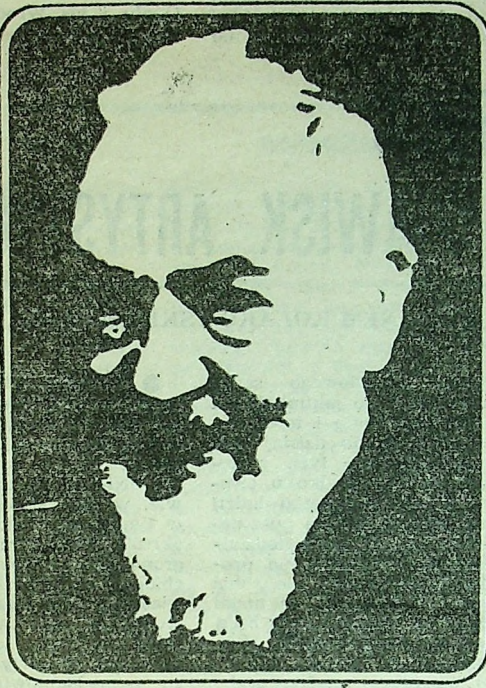
placząc opowiedziała, jak to Giovanni upadł w wannie, potłukł głowę i utracił wzrok w oku, ten jedyny kontakt z otaczającym go światem. Teraz jest zupełnie ociemniały. Oczywiście badali go najwybitniejsi specjaliści, lecz ich diagnoza brzmiała, że nic nie da się zrobić: oko jest bezpowrotnie utracone. „Giovanni żyje w niewypowiedzianym smutku — dodała pani Papini. — Wiem, że jest pan przyjacielem O. Pio. Bardzo bym pragnęła, by pan polecił mu mego męża. Myślę, że jeśli dam panu zdjęcie Giovanniego, a pan pokaże je Ojcu Pio, być może ten święty zakonnik pomoże mężowi”.

Natychmiast udałem się na południe, do klasztoru San Giovanni Rotondo i spotkałem O. Pio rzekłem: „Zdarzył się bolesny fakt, którego medycyna nie potrafi rozwiązać, a który dotyczy mego drogiego przyjaciela, Papiniego, wielkiego pisarza, autora „Hi-

monumentalnej Drogi Krzyżowej w San Giovanni Rotondo. „To moje ostatnie dzieło. Nie chciałem się go podjąć, bo w 1967 r. kiedy Ojciec Kapucyni zaproponowali mi tę pracę, miałem już ręce zniekształcone przez artretyzm. Kiedy jednak powiedzieli mi, że to O. Pio pragnął, by była Droga Krzyżowa, zgodziłem się. Robiąc szkice i projekty do niej — często przebywałem w San Giovanni Rotondo i widywałem O. Pio, bardzo już chorego. Z trudem chodził. Rany na stopach sprawiały mu straszliwe bóle. Pytałem go: „Jak się Ojciec czuje?” A on na to: „Złe, złe, złe”.

Nie doczekał dnia, kiedy powstały wszystkie Stacje Drogi Krzyżowej, ale poświęcił kamień węgielny na początku budowy, a w miejscu, gdzie stał podczas tej uroczystości, wznosi się dziś wykonany przez mnie z brązu jego posąg”.

OJIEC PIO (10)



GIOVANNINO, ZNAM CIĘ OD CHWILI URODZENIA

Markiza Giovanna Rizzani Boschi spotkała Ojca Pio w 1923 r. i od razu stała się jego duchową córką, pilnie z nim współpracującą. Podczas procesu beatyfikacyjnego O. Pio, Giovannę Rizzani Boschi zaliczono do grupy 70 pierwszoplanowych świadków.

„Moja historia — wspomina markiza — jest rzeczywiście nieprawdopodobna. Pełno w niej dziwnych zbieżności, które nie znajdują żadnego racjonalnego wyjaśnienia. Gdyby nie potwierdziły jej pisane dokumenty oraz świadectwa innych osób, nie uznałabym jej za prawdziwą, mimo że to właśnie ja ją przeżyłam. Dlatego właśnie opowiadałam ją z dużymi oporami. Łatwo być posądzoną o egzaltację.

Moje życie związane było od początku, od chwili gdy przyszedłam na świat, z Ojcem Pio. Oczywiście, nie pamiętam tego dnia, ale pamiętam opowieści matki, a także istnienie tajemniczego dokumentu, napisany własnoręcznie przez O. Pio, z którego wynika, że był obecny przy moich narodzinach. 18 stycznia 1905 roku mój ojciec umierał w swoim pałacu w Udinie. Matka, osoba z mocnym charakterem, a przy tym bardzo pobożna, czuwała przy łożu męża. Była w ostatnich tygodniach ciąży, a mimo to sama pielęgnowała ukochanego męża, nie powierzając go służbie. Kiedy zapadł zmierzch, psy może czując bliski koniec swego pana, zaczęły przeciągle wyć i matka zeszła na dziedziniec, by je uspokoić. Kiedy była już na dole,

chwyciła ją nagle bóle porodowe i, wspomagana tylko przez przerażonego rzadcę, urodziła mnie gdzie stała — na gołej ziemi. Potem miała jeszcze siłę, by wziąć mnie w ramiona i wspiąć się po schodach do komnaty męża, który wkrótce po tym umarł.

Od najmłodszych lat słyszałam opowieści matki o tym wydarzeniu, która zawsze wtedy dodawała, że w chwili gdy przychodziłam na świat, ona widziała na dziedzińcu jakiegoś młodego zakonnika kapucyna. Nigdy się nie dowiedziała, czy była to wizja, czy halucynacja, czy też rzeczywistość, tym bardziej, że nikt w rodzinie nigdy nie znał braci kapucynów.

Wiele lat później, kiedy O. Pio był już moim duchowym opiekunem, poznałam pewne szczegóły, które rzuciły przedziwne światło na to wydarzenie. Spowiednik, O. Pio, o. Agostino da san Marco in Lemis, poznałszy mnie, ofiarował mi kartkę z zeszytu, który otrzymał od swego ucznia w 1905 r. Wówczas O. Pio, nie miał jeszcze święceń kapłańskich. Studiował filozofię i mieszkał w klasztorze Sant'Elia w Pianisi, w prowincji Campobasso. Miał osiemnaście lat i dopiero dwa lata przebywał u kapucynów. Już wtedy jednak w jego życiu zdarzały się tajemnicze fakty, które opisywał w długich listach swemu spowiednikowi. W lutym 1905 r. napisał do o. Agostino, między innymi, tę kartkę, którą ten zachował razem z innymi.

„Niedawno — można przeczytać na fotokopii listu, pisanego z całą pewnością ręką O. Pio — zdarzyło mi się coś dziwnego. Kiedy 18 stycznia około godziny 23 przebywałem na chórze z bratem Anastasio, z nagle znalazłem się gdzieś daleko, gdzie umierał ojciec, a rodziła się dziewczynka. Ukazała mi się wtedy Najświętsza Maryja i rzekła mi: „Powierzam ci to stworzenie. To cenny kamień w surowym stanie, obróć go, wypoleruj i spraw, by zaświecił jak najjaśniejszy, ponieważ pewnego dnia zechcę przystroić się nim. Nie popadaj w zwątpienie, ona sama wyjdzie do ciebie, ale przedtem spotkasz ją w bazylice Św. Piotra. Po czym znowu znalazłem się na chórze”.

Trudno dać jakieś racjonalne wyjaśnienie na temat tych zdań, stwierdza markiza. Być może O. Pio przytacza jakiś sen, wizję, albo przypadek bilokacji (przebywanie w dwóch miejscach jednocześnie). Zupełnie niewyjaśnione natomiast pozostają zbieżności z moim życiem: data 18 stycznia 1905 r. dzień moich urodzin; miejsce, „jakiś wielkopolski dom” oraz okoliczność całkowitej niewykalkulacji, o której czytamy w liście O. Pio i która także dotyczy mnie: „gdzie umierał ojciec, a rodziła się dziewczynka”.

Zostawszy wdową, moja matka przeniosła się do Rzymu, do swoich rodziców. Rosłam w tym mieście, tam skończyłam liceum. Otrzymałam wychowanie religijne, lecz lata licealne były okresem, w którym przeżywałam tysiące wątpliwości dotyczących wiary. Chciałam spotkać jakiegoś kapłana, który pomógłby mi, ale nie natrafiłam na nikogo odpowiedniego.

Pewnego letniego popołudnia roku 1922 wybrałam się wraz z przyjaciółką do bazyliki Św. Piotra. Kiedy tam szłam, podziwiałam ogromne łuki, tym mocniej odczuwało się we mnie pragnienie powierzenia jakiemuś kapłanowi moich wątpliwości. Zwróciłam się do zachrystiana, lecz ten odpowiedział mi, że jest już za późno i księża już poszli do domu. „Za pół godziny zamykamy” — dorzucił.

(cdn.)

IRENA BURCHACKA



Fot. Jerzy Kosiński

● Pamiętam, jak kilkanaście lat temu, gdy zaczynałeś i śpiewałeś tylko dla wąskiego grona swoich przyjaciół, mówiłeś mi, że tekstów nigdy nie będziesz pisał, ponieważ są lepsi. Kiedy zaszła zmiana, bo przecież obecnie twój repertuar to niemal w całości piosenki autorskie?

— Zaczęłam pisać na początku 1982 r. i być może lepszych wtedy zamknęto. (Śmiech). Pamiętam, jak w czasie wakacji 1981 r. byłem w Swinoujściu z kabaretem i tam koledzy pisali świetne teksty. Siedziałem w pokoju i bardzo się męczyłem, żeby napisać jakiś tekst. Nic z tego nie wyszło. A potem w ciągu trzech miesięcy powstał właściwie cały recital „Ktokolwiek widział”. Teraz nie piszę tak dużo jak wówczas. Po prostu było pewne nagromadzenie emocji — tak to sobie tłumaczę. Natomiast poezję — jak sam powiedziałeś — lepszych autorów — śpiewam nadal. Jednak zapotrzebowanie na to jest jakby mniejsze niż na piosenkę autorską, a zwłaszcza satyryczną. Na recitalach wykonuję te „piosenki z uśmiechem” po to, żeby ludzie mogli się uśmiechać... Sądję, że jako znajomość w pisaniu pomogła mi ponościście warsztatu. Po prostu wiedziałem, jak się to rymuje, a jak mawiał świętej pamięci Jonasz Kofta: „Na dobrym rymie wszystko się trzyma”.

● Jako autor i wykonawca balansujesz trochę na linie pomiędzy groteską kabaretową a liryzmem. W którą stronę skłaniasz się mocniej?

— Podejrzewam, że mocniej skłaniam się w stronę liryki, natomiast wykonywanie piosenek satyrycznych to kwestia świadomości estradowej. Tomik poetycki czyta się w bardzo intymnych warunkach, czym innym jest występ estradowy, gdzie obowiązują pewne reguły bezpośredniego kontaktu z widzami. Jeśli wytwarza się dobry nastrój, jeśli są po temu odpowiednie warunki — światło, scena, bardzo dobre nagłośnienie — wtedy można sobie pozwolić na kilka poważniejszych czy bardzo osobistych rzeczy. Natomiast

jeśli warunki nie sprzyjają poezji, wtedy należy przyciągnąć widza jakimś elementem bardziej efektownymi. Najbardziej efektowny jest kabaret i dobra, zaskakująca pointa. Staram się trzymać tej dobrej zasady, której — jak sądzę — nauczyłem się m.in. od Wojciecha Młynarskiego.

● Romku, gdy zaczynałeś, byłeś uważany za artystę drugiego obiegu, później w latach 80. funkcjonowałeś i w drugim, i w pierwszym, oficjalnym. Sam natomiast twierdzisz, że nigdy nie byłeś w żadnym z nich, że stworzyłeś sobie swój własny obieg.

— Ja myślę, że te obiegi wytworzyły się w sposób sztuczny. Podział został spowodowany oczywiście sytuacją polityczną, ale ja bym nie generalizował — sytuacja polityczna była dogodnym pretekstem do przeprowadzenia pewnego rodzaju selekcji o charakterze profesjonalnym. W Polsce nie

— To też jest nieprawda. Brałem udział w festiwalach opolskich od 1981 roku, głównie występowałem i moje piosenki były śpiewane w Teatrze im. Kochanowskiego na Scenie Piosenki Aktorskiej. W 1984 roku dostałem kilka nagród na tym festiwalu i ani jedna z moich piosenek nie została wyemitowana. Nikt nie pytał mnie czy chcę, czy nie chcę. Po prostu zostałem wycięty przez redaktorów. W tym samym roku na Przeglądzie Piosenki Aktorskiej otrzymałem II nagrodę po Edycie Geppert, co nie jest bez znaczenia, bo mówi coś o poziomie konkursu. Wycięto mnie wtedy z relacji. Mało tego, również prasa o tym nie wspominała. Ja znam tych dziennikarzy, bo to są ci sami, którzy w 1981 dawali mi nagrody na festiwalu w Krakowie, Opolu i we Wrocławiu. A potem nagle zapomnieli.

— Nasz kabaret nie jest najlepszy na świecie! To my znowu uważamy się za pepek świata. Wszędzie funkcjonuje genialna estrada. Jak daleko nam do niej! Jakoś mają sytuację normalną, mają dobrobyt i mają świetne spektakle, mają świetne rewie. A dlaczego mamy się wstydić tych pawich piór i tych girls z gołymi biustami? Tylko trzeba, żeby to miało odpowiednią oprawę — perły, złoto, fontanny — a do tego znakomita piosenka literacka. Trzeba wyjść z piwnicy, z podziemia do wielkich sal teatralnych.

Na całym świecie karykaturuje się prezydentów, szefów partii politycznych i nic się nie dzieje. Bardzo dobrze, bo wreszcie twórcy nie będą zamykani za to do więzienia ani spychani do jakiegokolwiek obiegu, a wręcz będą za to brali przyzwoite pieniądze. Tym lepsze, im na lepszym poziomie zrealizują swój zawód — czyli uprawianie satyry.

● Zatem nie ma strachu o przyszłą kondycję kabaretu, tym bardziej że normalnie to się u nas chyba tak szybko nie robi. Na zakończenie wróćmy jeszcze do twojej osoby. Czy pieszysz tylko dla siebie, czy także dla innych?

— Moje piosenki śpiewają: Emilian Kamiński, Ewa Daikowska, Agnieszka Fatyga, Michał Bajor, współpracuję z takimi kompozytorami jak Włodzimierz Korcz, Maciej Malecki czy Jerzy Derfel.

Ja chętnie w ogóle przestałbym występować, ale w Polsce trudno się w tej chwili utrzymać z samego pisania piosenek. Dlatego jedzę, mam jakąś swoją publiczność. Piszę trochę dla teatru, tłumaczę z greckiego pieśni Mikisa Teodorakisa, przygotowuję ten materiał na płytę. Przetłumaczyłem pieśni z lagrow rosyjskich — to jakby spłacenie pewnego długu. Otrzymałem przed laty po jakimś koncercie od anonimowego człowieka płytę. Powiedział, że może w moich rękach znajdzie ona lepsze miejsce. Wróciłem do tego po latach i część tych piosenek jest śpiewana we wrocławskim Teatrze Polskim w spektaklu „Osmy krag”. Przetłumaczyłem trochę Wysokiego. W telewizji zrobiłem kilkanaście programów. Nie wszystkie dały taki efekt artystyczny, jaki bym sobie wymarzył, ale telewizji, jak każdego medium, trzeba się nauczyć. Wydaje mi się, że po woli dorastam do telewizji. Być może już w najbliższym czasie uda mi się realizować programy autorskie. Wtedy będę w pełni odpowiadał za ich efekt artystyczny.

● Myślę, że dla słuchaczy twoich recitali, fakt, że z pisanie piosenek nie da się wyżyć, jest bardzo dobry. Szkoda by nam wszystkim było twojego głosu i twojej gitary. Dziękuję ci za rozmowę.

WRÓCIĆ DO ZJAWISK ARTYSTYCZNYCH

Z ROMANEM KOLAKOWSKIM rozmawia Waldemar Gajszek.

ma rynku estradowego sensu stricto i właściwie o jakimkolwiek obiegu decyduje radio i telewizja. Panowie, którzy do dzisiaj tam siedzą, nie puszczali tych piosenek (nie mówię tu tylko o swoich, lecz o całym szeregu ludzi) wcale nie dlatego, że nie puszczają ich cenzura czy odpowiedzialni sekretarze redakcji, a po prostu dlatego, żeby sobie nie robić konkurencji. Byli słabsi, są nadal słabsi, więc za wszelką cenę będą bronili swoich redakcyjnych stołków. Tak jest do dzisiaj. Już co najmniej od roku można praktycznie śpiewać wszystko, a mimo to ani w radiu, ani w telewizji nie nastąpiła jakaś generalna zmiana. Nadal głównym materiałem są teledyski z telewizji satelitarnej. Po pierwsze dlatego, że są one oczywiście atrakcyjne wizualnie, ale też jest to sprawa pieniędzy. Polskim twórcom trzeba zapłacić, a nie daj Boże okazać się, że zajmą miejsce tych, którzy już dawno powinni odejść...

● Marek Kasz napisał kiedyś w „Kulturze”, że polskie kabarety nie chodzą na antenie radiowej czy telewizyjnej nie dlatego, że nie pozwalała cenzura, lecz dlatego, iż twórcy nie zgadzali się na ich wcześniejsze wyemitowanie, dopóki nie zgrają swoich programów.

● W nowej sytuacji twórcy dotychczasowego drugiego obiegu będą musieli wykonać jakiś zwrot. Jak sądzisz, w jaką stronę to pójdzie?

— Nie wiem, czy w ogóle ktoś wie, w jaką stronę pójdzie zwrot w tym kraju. Tak jak po każdym okresie wojennym zostanie spore grono kombatantów. To tak, jak chłopcy wychodzili z lasu i nie wiedzieli za bardzo, co ze sobą zrobić, bo całą młodość przesiedzieli w lesie, tak samo tutaj... Są teraz koncerty drugiego obiegu — podsumowujące, retrospektywne, one się skończą. Nie będziemy przecież w kółko robić przeglądów piosenek kombatantów, bo to jest absolutnie bez sensu. Bóg, Ojczyzna, Patriotyzm. Opozycja nie będą już wartościowymi artystycznymi, będą wartościami moralnymi, a na samych wartościach moralnych nie zbuduje się estrady, a zwłaszcza kabaretu. To, że ktoś jest moralny, nie znaczy, że jest śmieszny lub że jest dobrym poetą. To są zupełnie inne zjawiska i trzeba będzie wrócić do normalności, do zjawisk artystycznych.

● A propos, nienormalna rzeczywistość jest wspaniałą pożywką dla kabaretu. Jeżeli ta rzeczywistość stanie się normalna, to co z kabaretem?

wczesne Chiny i wczesna, starożytna Grecja. Oto gdzie około 1200 r. pne. narodził się Asklepios, znany u nas bardziej jako Eskulap, który dużo uwagi poświęca ziołom, tworząc apteczki ziołowe. Dużą rolę odegrał także Hipokrates. Zresztą, protoplastów lecznictwa ziołowego można by wymienić w tysiącach nazwisk. Ziołolecznictwo zawsze uważano za korzystne dla ludzkiego organizmu.

Nawet i dzisiaj, gdy takie znaczenie odgrywa chemia, zioła nie straciły swojej wartości, a nawet przeciwnie, znamy ludzi, którzy tylko ziołami leczą swoje schorzenia. Może to zresztą najmniej kosztowny sposób leczenia naszych dolegliwości. Pamiętając o tym, zachęcam do lektury dzieła Mariana Janusza Kawalko. Jeśli nie znajdzie się „Historii ziołowych” w księgarniach, z pewnością to wielu bibliotekach nie zabraknie tego tytułu. Milej lektury!

A.W.

KSIĄŻKA

HISTORIE ZIOŁOWE

Marian Janusz Kawalko to bardzo ciekawa osobowość twórcza. Głównie znany jest w kręgach literackich jako dobry poeta, ale ostatnio zaskoczył swoich czytelników czymś zupełnie wyjątkowym. Otóż opublikował całkiem pokaźny tom z zakresu nauk przyrodniczych pt. „Historie ziołowe”, wydany przez KAW w Lublinie. Sam autor tak pisze o swojej książce: „Zioła — o ile o nich myślimy — wywołują różne skojarzenia i reminiscencje: przyrodnicze, lekarskie, kosmetyczne, artystyczne...

ne... One to dawały szansę przebiegania bóstw lub uleczenia z ciężkiej nawet niemocy. Towarzyszyły wyprawom wojennym, egzorcyzmom i modlitwie. Jako wzorce przenikały do malarstwa, literatury, rzeźby. Były i są symbolami odradzającego się każdej wiosny życia. Intrygowały one całą starożytną medycynę i sztukę, kapitanów i cesarzy, filozofów i prostych ludzi...”. Właśnie i, prostych ludzi. Któż to z naszych matek, a jeszcze bardziej, któraś to z naszych babek i prababek nie goła naszych ran ziołem, nie dawała nam do picia kiedy byliśmy mali, ziółek. Jak pisze autor, lektura książki będzie wędrówką przez minione epoki ziołowe.

Znajdziemy w tej pokaźnej książce wiedzę o ziołach, dowiemy się jakie to są substancje biologiczne w ziołach, jakie były zioła biblijne, jakie były starożytne owoce ziołowe, jakie było ziołowe średniowiecze, jak się rozwijała myśl

ziołolecznicza w Polsce, jaki udział w ziołolecznictwie miała i ma nadal polska wieś, polski chłop.

Dowiemy się, jaką rolę spełniała zioła w przemyśle spożywczym, w kosmetyce, przypomnimy sobie, czym jest czarnuszka siewna, gorczyca, kminek zwyczajny, melisa lekarska, tymianek czy majeranek ogrodowy. Warto wiedzieć, że jest na świecie blisko 290 tys. różnych gatunków roślin, a udomowiono spośród nich zaledwie 1 proc., a więc bardzo niewiele. I my tylko co nieco wiemy o tych udomowionych roślinach, ale nie zawsze o orientujemy się, jakie mają one zalety, a jakie wady.

Bogata wiedza zielarska charakterystyczna jest medycyna babilońsko-asyryjska, aczkolwiek, jak pisze autor, opierała się na astrologii. Lekarze mezopotamscy zalecali surowce zielarskie stosować wewnętrznie, zaś wszelkiego rodzaju maści — zewnętrznie. Zioła traktowane jako lekarstwa znają

Pęta na kulturze zaciska się. Czy można osłabić ten „miłosny” uścisk? I jak? Co mają robić placówki kulturalne w chwili, gdy dotacje będą coraz mniejsze, a działać trzeba? Bo przecież nie od razu, mam nadzieję, rozsypie się cała infrastruktura kulturalna. Nie ulega wątpliwości, że trzęsienie ziemi w kulturze nadchodzi, ale co robić, żeby ofiar było jak najmniej?

Zanim dojdzie do kształtowania nowego modelu w kulturze, stary istnieje i trzeba wiedzieć, co z nim robić. Czy mają pozostać placówki kulturalne takie jak domy kultury, kluby, świetlice? Czy zostaną się regionalne towarzystwa w dawnym kostiumie? Samo życie naturalnie rozstrzygnie ten problem, oby tylko ludzie pracujący w domach kultury i klubach wiedzieli o tym, iż po staremu już się nie da gospodarzyć i żeby byli przygotowani do startu po nowemu.

Czy państwowe placówki kulturalne mają szansę ocalenia? Czy takie szanse ocalenia mają placówki fabryczne, związkowe, zawodowe itp.? I czy trzeba, żeby ocalały? A jeśli były martwe od samego początku? Czy trzeba, żeby ocalały? Jeśli były sztucznym tworem i wszyscy o tym wiedzieli, czy trzeba, żeby nadal trwały jako sztuczny twór?

Zaczniemy od tego, czy państwowe domy kultury mają szansę ocalenia. Nie! — odpowiadamy, bo chodzi o to, żeby one nie były państwowe, a społeczne. A więc, żeby dzielnica, otoczenie, środowiska, w których się takie domy kultury znajdują, decydowały, jakimi one mają być i czy powinny ocaleć. Jeśli dom kultury ma być martwy i sztuczny, trzeba przeobrazić go w nowy dom kultury, żywy i potrzebny lokalnemu społeczeństwu. Przyjrzyjmy się pewnej placówce kulturalnej, która — zdaje się — rozumie swoją nową sytuację i stara się myśleć kategoriami potrzeb środowiska, w otoczeniu którego się znajduje. Mam na myśli Dom Kultury „Żuraw” w Lubinie.

Swego czasu była to głośna placówka, głównie za sprawą Teatru Lalki „Świerszcz”. „Świerszcza”, niestety, nie ma, pozostały nieszczerne szczątki po tym dobrym i cenionym zespole, ale Dom Kultury „Żuraw” istnieje i, jak się okazuje, ma się wcale nieźle, przynajmniej jeśli chodzi o

zabezpieczenia finansowe. Jak sobie radzi w nowej sytuacji „Żuraw”? Placówka podlega bezpośrednio Urzędowi Miasta w Lubinie i korzysta z Funduszu Rozwoju Kultury, do niedawna czerpiąc z tej puli główne zasoby budżetowe. Czy teraz coś się zmieniło? W zasadzie „Żuraw” nadal otrzymuje mniej więcej tyle samo, co otrzymywał z funduszu, ale to już nie wystarcza na utrzymanie placówki przy życiu. Gdyby tylko zasiliał ją fundusz, placówka by padła.

Pytanie więc tytułowe: Jak leci „Żuraw”? należy traktować nie jako pytanie o upadek, czyli o lot ku ziemi, ale raczej, jako pytanie o lot ku jasniejszemu horyzontom. „Żuraw” wylatuje z państwowego garnuszka i czyni poszukiwania jeszcze gdzie indziej. Dotychczas, powtarzam, w zasa-

du jest niemały, pomieszczeń sporo, prac remontowych mnóstwo, no i działalność trzeba prowadzić, a inflacja pieniądza zżera. To, co dziś kosztuje 20 tys. zł, jutro 30, albo i więcej. Trzeba myśleć kategoriami inflacyjnymi, co też jest znakiem czasu. Dyrekcja tak konstruuje plan działania, żeby zarobić na niektórych imprezach. Wypracowuje więc własny budżet.

Po pierwsze, służy temu własna kawiarnia — żyła złota, jak na obecne warunki. I tak z prowadzenia kawiarni „Żuraw” osiągnął do 30 listopada 1989 r. blisko 16 milionów złotych, a z działalności programowej — 7 milionów; dodatkowo za wynajem sal — 2 miliony. Przez działalność programową, opłacaną (karty wstępu, bilety) rozumie się różnego rodzaju dyskoteki, giełdy,

stare — 10 mln zł. Tak więc przygotowanie do dobrych warunków pracy zjadło ponad 10 milionów złotych. Dyrekcja jest świadoma, że samym Funduszem Rozwoju Kultury żyć nie można. Stąd kawiarnia, stąd coraz częściej bilety za działalność usługową, ale także np. za bale samotnych, giełdy wideo, filmy czy kursy tańca towarzyskiego. Inaczej mówiąc: chcesz piękną dziewczynę dobrze nauczyć się tańczyć, trzeba zapłacić. Pragniesz młodzieńcze w przyszłości coś wiedzieć o muzyce, plastyce i estetyce, zapisz się jako dziecko do Studium Wychowania Estetycznego, a wyróżnie ci ciebie człowiek, tyle tylko, że musisz za to zapłacić. Wykształcenie i wiedza kosztują.

Na to szczególnie pragnę zwrócić uwagę. Wiedza i wykształcenie były w naszym kraju kompletnie lekceważone. I to na każdym piętrze życia publicznego. Objawy tego znamy i nie musimy się tym szczególnie zajmować. Skutki znamy jeszcze bardziej, ciąży na nas do dziś i jeszcze będą bardzo ciężkie. Dlatego radykalnie należy zmienić punkt widzenia na ten problem. Za wiedzę trzeba płacić. Dobra myśl, dobra idea jest wiele warta, często znacznie więcej niż produkt konsumpcyjny czy dobro materialne innego typu. Za tańce się płaci, za aerobik się płaci. I co ciekawe, jak mi powiedziała p. Maria Róg, obserwuje się w „Żurawiu” większy szacunek dla tych działań, które wymagają także współodpowiedzialności finansowej. Panie z aerobiku rzadko opuszczają swoje zajęcia, ponieważ płacą za nie 4 tys. miesięcznie. Nie jest to zresztą dużo, ale wiedzą, że lekceważenie zajęć, nieobecność na nich, obciąża ich kieszenie. Szanują własny pieniądź.

NOWE wchodzi do placówek kulturalnych jakby od kuchni, jeszcze nieco nieśmiało, ale coraz mniej się ogląda za siebie. W nowej sytuacji ekonomicznej niedyskretnie państwowe placówki coraz bardziej stają się placówkami samofinansującymi, a jeśli takimi nie będą się stawać, grozi im samozagłada.

Inna kwestia to uspołecznienie tych placówek, dobór programu, nowe sposoby działania itp., itd. I tymi sprawami zajmiemy się na przykładzie „Żurawia” w następnej publikacji.

Jak leci „Żuraw”

ANDRZEJ WRZOS

dzie głównym źródłem finansowania była kasa państwowa, naturalnie, nie licząc pewnych działań samodzielnych, które nie były za wysokie.

Cały rok 1989 zmusił dyrekcję do przemyślenia sytuacji „Żurawia”. Pomoc funduszu jest daleko nie wystarczająca. Z funduszu w 1989 roku „Żuraw” otrzymał 4,5 miliona złotych na wydatki bieżące, co oznacza, że wlicza się tutaj wszystko, poza funduszem plac. Potem Fundusz Rozwoju Kultury dodał jeszcze jeden milion, a więc razem było już 5,5 miliona, co w przeliczeniu na budżet miesięczny — oznaczało mniej więcej 400 tys. zł na działalność, remonty, koszty utrzymania itp., itd., czyli prawie nic. Nikt nie jest w stanie takiej placówki za takie sumy utrzymać. Co więc robi dyrektorka „Żurawia” Maria Róg? Robi to, co każdy sensowny kierownik powinien robić.

Zabiega o wsparcie mecenasów, otrzymuje pomoc z dyrekcji KGHM w Lubinie (3 miliony złotych) oraz z Zakładu Handlowo-Produkcyjnego (1,5 mln zł). Ale i to nie wystarcza, bo Dom Kul-

bale, uroczystości okazjonalne. Z prostego rachunku wynika, że samodzielność finansowa sięgnęła do końca listopada 1989 roku blisko 25 milionów. Niemało!

Gdy ten materiał przygotowujemy do druku, jest początek grudnia. Dojdzie więc jeszcze blisko miesiąc i pewnie wpadnie do kasy placówki z okazji „Barbórek” i innych tego typu imprez kolejnych 5 milionów. Razem więc „Żuraw” wypracowuje sam 30 milionów złotych. Równocześnie spodziewa się zasilenia budżetu dodatkowymi środkami z Funduszu Rozwoju Kultury, które przyznawane są zwykle w końcu roku. Widać z tego pobieżnego rozliczenia, że „Żuraw” zorientował się w nowej sytuacji, nie przespał jej, nie obudził się z ręką w... itp., itd. Dyrekcja chyba szła z duchem czasu, jeśli idzie o myślenie kategoriami finansowymi.

Przybliżmy też rozchody placówki. Dom Kultury „Żuraw” zatrudnia 25 pracowników. W 1989 roku kupiono tutaj kolorowy telewizor za 1 800 000 zł, magnetowid za 3 600 000 zł, zrobiono parkiet — 5 mln zł, kupiono krzesła, stoły, zasłony, bo wszystko było

nie chowa ani za drzewo, ani za stodołę czy za pohliski most, ale chowa się za „paragrafy”. Jest to znak czasu! Chowamy się za paragrafy.

Zainteresowanych zabawą w chowanego, gdy się bawiący sprytnie chowają za paragrafy, informuję, iż znam przepis na taką zabawę. Jeśli ktoś się jeszcze nie „zatapał” ma szansę szybko nadrobić stracony czas.

Otóż, jeśli pracujesz np. w domu kultury, w klubie lub pracujesz w tak zwanej kulturze, szybko załóż spółkę, która będzie ci sprowadzała artystów z centrali. Nie musisz być od razu prezesem spółki, bo to wzbudza jeszcze niezdrowe podejrzania, ukryj się gdzieś w środku spółki między sekretarzem a drugim na liście członkiem. Następnie ulokuj siedzibę spółki w swoim gabinecie, a w najgorszym przypadku w swojej firmie, która jest nie tylko twoja, ale jeszcze trochę państwowa i zaczynaj tę państwową firmę doć przy pomocy spółki.

Dojarka się znajdzie. Zamawiaj np. koncert, jako dyrektor domu kultury i wyraż zgodę na taki koncert również jako dyrektor firmy państwowej, następnie zapłać spółce, w której masz swój udział. Naturalnie, zapłać maksymalnie dużo, bowiem im więcej

zapłacisz z państwowej kieszeni, tym więcej spłynie do twojej prywatnej kieszeni, jako do kieszeni udziałowca. I niczego się nie bój. Wszystko odbędzie się w majestacie prawa. Masz świetne schronienie za paragrafem. Szef spółki podpisze z tobą korzystną umowę i obaj będziecie mogli spojrzeć sobie ze spokojem w oczy, bo wszyscy

stko gra, niczego złego nie zrobiłeś. A gdy ci twój syn spyta, w co się bawisz, odpowiedz mu z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku, że trzeba się bawić w spółkę, szczególnie wtedy, gdy się jest dyrektorem państwowej firmy.

Na zdrowie!

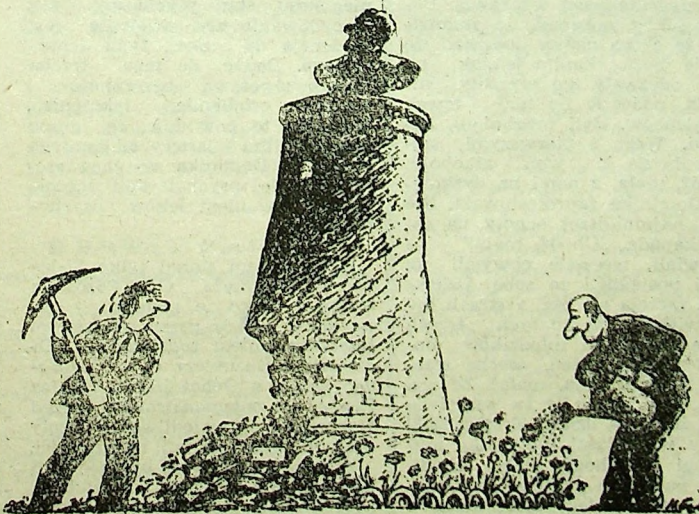
(A.W.)

FELIETON

W CO SIĘ BAWIĆ?

Znamy zapewne słynny niegąsny przebój estradowy: w co się bawić, w co się bawić. Zycie jest nie najweselsze, ale zapotrzebowanie na zabawę nieustannie trwa. Ludzie wciąż się bawią, szukają rozrywkę, pragną zapomnieć o trudach codziennego dnia i mają rację. Zabawy także nie brakuje, młodzież gania po rozrywce nie tylko do nocnych knajp, ale znajduje ją w bramach, parkach czy na ulicach, nawet jeśli pada deszcz czy marzną uszy. Ale zabawy bywają, jak wiadomo, różne. Dla jednych jest to taniec, dla innych pół litra, a jeszcze dla innych podkasana muza czy fikolki w najprzeróżniejszych postaciach.

Ostatnio starsi, choć nie tylko starsi, panowie, wymyślają sobie zabawę w chowanego, tyle że jest to zupełnie odmienny chowany niż niegdyśniejszy dziecięcy. Nikt się



SPOTKANIE Z TEMIDĄ

Choćby najdalej sięgając pamięcią wstecz, nikt nie może sobie przypomnieć najmniejszych nawet kłopotów z Dominiką. Owo sięganie nie może zresztą być zbyt odległe przy trzynastu dziewczęcych latach... Była więc Dominika zawsze dzieckiem grzecznym, posłusznym i nie sprawiacym najmniejszych nawet kłopotów. Od kiedy poszła do szkoły, uczyła się dobrze, bez szemrania wypełniała polecenia, w domowym gospodarstwie potrafiła matkę wyręczyć, a i do opieki nad młodszym rodzeństwem nie trzeba jej było poganiać.

Dominika była także dziewczynką rozsądną jak rzadko. Nadszła się nawet nie można było, że tak łatwo dawała sobie wytłumaczyć różne sprawy, o które wręcz użerać się trzeba po innych domach. Nie napraszała się więc o pewexowskie czy butikowe stroje, bo choć koleżanki dumnie obnosiły drogie szmatki, ona doskonale zdawała sobie sprawę, że jej rodziców na to nie stać. Odstąpiła od pierwszych nieśmiałych prób makijażu, gdy tylko matka powiedziała z wyrzutem, że „podłotkowi jeszcze to nie uchodzi...”. Wydawało się też, że doskonale rozumiała, iż „nie uchodzi także, by takie dziecko wędrowało po dyskotekach”. Niestety, tylko wydawało się, że Dominika przestała śnić na jawie i we śnie o dyskotekowych atrakcjach... Do najbliższego lokalu było jednak na tyle daleko, że postanowiła poczekać na jakąś dogodną okazję...

Stworzyła ją w pewien jesienny dzień wiadomość o chorobie ciotki — osoby starszej i samotnie mieszkającej. Zrozumiałe, że obowiązek towarzyszenia chorej spadł na Dominikę, która za grzecznym „dobrze, mamusi!” ledwo zdolała ukryć swą radość.

Pojechała do ciotki nieco okrężną drogą. Najpierw przez mieszkanie koleżanki, u której można było codziennie sukienkę zamienić na coś bardziej wystrzałowego, położyć cienie na powiekach, podkreślić czerwień warg. Później była dyskoteka, tyle że w zetknięciu z rzeczywistością bardzo szybko przysnęły wszystkie marzenia. Po prostu z każdego kąta wiało nudą. Po trzech mniej więcej godzinach Dominika miała serdecznie dosyć tej zabawy w dorosłe życie, ubrała płaszcz i ruszyła wprost do autobusu, który miał zawieźć ją niemal tuż przed drzwi domku ciotki.

Stanął na przystanku i prawdę mówiąc poczuła się trochę nieswojo. Pożalowała nawet swej decyzji o dyskotekowej wyprawie. Poczuła jakby niesmak, że skłamała, i że chora ciotka doczekać się jej nie może... Zanim jednak na dobre odezwały się wyrzuty sumienia, podeszło do niej trzech młodzieńców. Byli roześmiani, hałaśliwi. Wraz z pierwszymi słowami doszła ją woń alkoholu. „Chodź, mała, z nami na dyskotekę”. Dominika zaprotestowała. Nie miała najmniejszej ochoty na taką eskapadę. „Chodź, mała!” — namawiali, wreszcie chwycili za ręce i pociągali za sobą. Dziewczyna zaczęła się bać, a strach był tym większy, że do tych trzech trochę podpitych młodzików dołączył jeszcze jeden, trochę starszy. „No, coś taka, mała? Ze wsi jesteś, czy jak? Ile ty właściwie masz, żeś taka dzika? Trzyście?! Bajery wstawiasz! Piętnastka murwana! No chodź, mała, chodź. Jak z nami nie pójdziesz, to jeszcze coś ci się głowę może stać...!”.

★

Zaciągnęli ją pod most, nad

sam brzeg Odry, kazali się rozebrać, a kiedy odmówiła — rozebrali siłą. Potem najstarszy z nich — „aż” siedemnastoletni Kazimierz G. wrócił na most, aby pilnować czy przypadkiem ktoś nie nadchodził. Pozostała trójka nieletnich kolejno gwałciła Dominikę, przez cały czas bijąc krzyżącą i wyrwijając się dziewczynę. Potem zszedł z warty na moście Kazimierz G. Dominika krzyknęła wtedy: „Mój chrzestny jest milicjantem! Wszystko mu powiem!”. Tamci trzej zaśmiali się tylko i znów przyłożyli dziewczynę. Ale Kazimierz G. jakby się zreflektował. Pomyślał: „Przecież za to coś może być... Jakieś konsekwencje prawne albo co...”. Wstał, podciągnął spodnie i odszedł. Po chwili zniknęli w mroku i tamci trzej...



ILE MASZ LAT MAŁA?

ANNA BORSKA

★

Biegły sądowy mówi:

Każde tego typu wydarzenie miewa negatywne skutki dla rozwoju osobowości poszkodowanej dziewczyny. Dla Dominiki skutki te okazały się szczególnie dramatyczne. Przez długi czas utrzymuje się u niej wysoki poziom niepokoju, stan psychiczny jest zdecydowanie zły, widoczna jest tendencja do reakcji typu depresyjnego. Dodać do tego trzeba jeszcze okresową bezsenność i znaczne osłabienie łaknienia... Wszystko to powoduje, że mimo upływu kilku miesięcy od tamtego wieczoru, Dominika wymaga szerego pojętej psychoterapii, łącznie z przyjmowaniem leków psychotropowych.

★

Przed sądem stanął tylko 17-latek — Kazimierz G. Pozostała trójka — jako że nieletni — odpowiadać będzie przed właściwym terenowo sądem rodzinnym. Oczywiście Kazimierz G. — wzorowy junak z Ochotniczego Hufca Pracy — zademonstrował przed wymiarem sprawiedliwości cały arsenał skrzywdzonej niewinności. A więc po pierwsze był pod tym mostem, ale niczego nie widział, a już zupełnie niczego nie zauważył, gdy poszedł na most zostawiając kolegów z tą dziewczyną!

Dlaczego stał na moście? Po prostu miał ochotę właśnie w tym miejscu zapalić sobie papierosa. Wolno mu przecież! A więc jak był na tym moście, to nie tylko zupełnie nic nie widział, ale i nie słyszał żadnych krzyków i ani mu do głowy nie przyszło, że koledy mogą zrobić jakąś krzywdę tej dziewczynie... To prawda, że później, jak zszedł do nich, nad Odrę, to sam też miał chęć spróbować, ale zrezygnował. I to wcale nie dlatego, że ona krzyczała, że jej chrzestny jest milicjantem. Sam z siebie pomyślał, że coś za to może być. Miał nagle taką świadomość, że robi się tej dziewczynie krzywdę i za to mogą być konsekwencje prawne... „Więc do winy, to się mogę przyznać tylko częściowo. Bo taka moja wina, że tam byłem, ale przecież nic nie zrobiłem!”.

★

Z aktu oskarżenia:

„Oskarżam Kazimierza G. o to, że wspólnie z trzema nieletnimi wziął udział w zgwałceniu 13-let-

LISTY

ANTYKULTURA

Kilkanaście dni po otwarciu pawilonu handlowego polkowskiego „Zakmatu” na osiedlu Ustronie I w Lubinie, postanowiłem odwieźć tę placówkę — powszechnie zresztą zachwalaną. Trzeba obiektywnie stwierdzić, że zaopatrzeniu sklepu przeszło nie tylko moje oczekiwania. Znajdują się tu również towary do kupienia jedynie na książeczkę „G”, co czyni konkurencję dotychczasowemu monopolście — Przedsiębiorstwu Zaopatrzenia Górniczego.

Dobre wrażenie zakłócił jednak przykry incydent, który rozegrał się na moich oczach:

Klient wypisał z książeczki odpowiednią kwotę, po czym zwrócił się do sprzedawczyni o wydanie zakupionej lodówki. Ta oznajmiła mu, że lodówka została już sprzedana. Po kłótni z personelem, klient udał się do dyrekcji przedsiębiorstwa w Polkowicach. Ja odwieździłem kierowniczkę sklepu, aby ów incydent wyjaśnić. Pani kierowniczka była oburzona, że śmiałem przeszkadzać jej w pracy. Narzekala przy tym na uciążliwą pracę, nieuprzejmych klientów itd. W tym czasie zatelefonował do niej dyrektor firmy z Polkowic. Chciałem z nim porozmawiać, ale niestety z powodu jakichś zakłóceń dwukrotnie przerwało naszą rozmowę. Było to 11 grudnia w godzinach popołudniowych.

Następnego dnia około godz. 16 poszedłem do tego sklepu na zakup. I nie wyniosłem miłego wrażenia, mimo że zakupy się udały. Stojąc w kolejce obserwowałem bowiem pilnie pracę sprzedawczyni. Jest ona rzeczywiście nielekka. A tłok w kolejce po atrakcyjne towary na pewno im jej nie ułatwia. Nie może być to jednak usprawiedliwieniem dla niekulturalnej obsługi. Dla przykładu podam kilka scenek rodzajowych: Klient pyta sprzedawczynię: Jak się obsługuje ten magnetofon? Słyszysz odpowiedź: Przecież tu pisze jak być! Następny klient zwraca uwagę ekspedientki, że w zakupionym magnetofonie nie było karty gwarancyjnej. Paniąka każe klientowi napisać w tej sprawie do producenta...

Nie wytrzymałem i zwróciłem jej uwagę, że sklep jest przecież pośrednikiem między producentem a klientem i owo pisanie należy do obowiązków placówki handlowej, która m.in. za to pobiera marżę. W tym momencie do akcji wkroczyła kierowniczka sklepu krzyżąc na cały lokal: Niech pan nie będzie taki mądry — my panu nie znamy!

Nie podjąłem dyskusji, uznając, że to i tak nic nie pomoże. Doshedłem jednak do wniosku, że niekulturalne zachowanie się ekspedientek jest wynikiem „wzorca”, jakim jest pani kierowniczka. Klienci sklepu powiedzieli mi, że takie zachowanie się personelu jest zjawiskiem codziennym.

Biorąc pod uwagę opisane fakty, zwracam się do dyrekcji „Zakmatu” z postulatem: Należy wreszcie położyć tamę chamstwu, elementar-nemu brakowi kultury i lekceważeniu klientów. Jeśli chce się zapracować na dobre imię firmy, należy klientów traktować kulturalnie i z szacunkiem, w myśl starej handlowej dewizy: „klient nasz pan”.

ZDZISŁAW JAROSZ
Klub Federacji Konsumentów
w Lubinie

Każdego wieczoru dziesiątki, a może i setki małolątów szlifuje miejskie bruki w poszukiwaniu mocnej, męskiej rozrywki... W co się bawić, w co się ba-

● Panie trenerze, wasza sekcja ma ogromny dorobek w pracy z młodzieżą. Zespoły młodych szczytnistów „Zagłębia”, niemal we wszystkich grupach rozgrywkowych, nie mają równych sobie przeciwników. Trofeami zdobytymi w ciągu kilku ostatnich lat można by obdzielić kilka klubów. Jak to jest możliwe, że do tej pory nie zdobyliście jeszcze tytułu mistrza Polski? Bo, musi pan przyznać, że jest to fakt dość zaskakujący.

— Dla postronnego obserwatora zapewne tak. Ale powiem rzecz jeszcze bardziej zaskakującą. Otóż w naszych planach szkoleniowych nigdy nie wytyczaliśmy sobie takiego celu. Zdobyć tytułu mistrza Polski byłoby z pewnością osiągnięciem bardzo spektakularnym, ale o bardzo wątpliwej wartości merytorycznej. Ja i moi koledzy szkoleniowcy nie prowadzimy tajni wyścigowej nastawionej na błyskotliwe sukcesy. Bo na tym etapie szkolenia sukces jest wprawdzie ważny, ale nie najważniejszy. Dla nas liczy się przede wszystkim harmonijny rozwój fizyczny i rozwijanie umiejętności technicznych, czyli kształtowanie przyszłych zawodników-seniorów. To przecież sprawa oczywista, że jesteśmy bezpośrednim zapleczem kadrowym pierwszego zespołu „Zagłębia”.

● Czy chce pan przez to powiedzieć, że zdobycie tytułu mistrza Polski kolidowałoby ze strategicznymi celami szkoleniowymi? Przecież rywalizacja o tytuł z najlepszymi drużynami w kraju to także nabywanie piłkarskich umiejętności. Jeżeli ten kierunek jest niewłaściwy, to dlaczego inne kluby walczą z determinacją o najwyższy krajowy laur?

— Sprawa nie jest taka prosta i oczywista jakby się wydawało. W jednym punkcie ma pan rację. Rzeczywiście są takie kluby w Polsce, które całą strategię szkolenia podporządkowują sukcesowi np. w mistrzostwach Polski i rzeczywiście robią wszystko, aby odnieść sukces. Nie chcę tego szerzej komentować, bo jest to sprawa działaczy i szkoleniowców zatrudnionych w tych klubach. I ostatecznie oni biorą to wszystko na swoje sumienie. Chcę natomiast wyjaśnić dlaczego my nie postępujemy podobnie. Otóż chcąc zdobyć mistrzostwo Polski trzeba na pewnym etapie rozgrywek wdrożyć ostry reżim treningowy, niemal taki, jaki obowiązuje seniorów. A przecież pan wie, że piłka ręczna jest grą brutalną, wymagającą wielkiego wysiłku, kondycji i odporności. Takiego obciążenia nie są w stanie wytrzymać młodzi chłopcy. Wzięcie ich w cugle seniorów prowadzi wprawdzie do osiągnięcia chwilowego sukcesu, ale jest początkiem końca ich sportowej kariery. To nie są puste słowa. Na to są liczne dowody. Jedną z drużyn, która zdobyła mistrzostwo Polski juniorów została poddana badaniom w centrum medycznym COS. Z osiemnastu zawodników aż dwunastu otrzymało dożywotni zakaz

uprawiania sportu. Mówiąc najdelikatniej zostali przetrrenowani.

Stąd też nasze zespoły wprawdzie biorą udział w rozgrywkach krajowych, ale tylko na zasadzie nabywania umiejętności, a nie sukcesu za wszelką cenę.

● Sukcesy jednak są. Można by tu wymienić całą listę tytułów zdobytych w rozgrywkach krajowych i turniejach międzynarodowych. Czy zatem jest to czysty przypadek, sukcesy z marszu, czy też wynika z jakiejś kalkulacji?

— Sukcesów jest rzeczywiście dużo. Powiem krótko, że w ciągu ostatnich czterech lat zgromadziliśmy 22 puchary za zwycięstwa w różnych rozgrywkach i turniejach. Czy był to wynik jakiejś kalkulacji? Poniekąd, bo gra się przecież po to, aby wygrywać. A wy-

— W ogóle sekcja skupia 423 zawodników, w tym 28 seniorów, 42 juniorów i juniorów młodszych oraz 353 młodzików. Szkoleniem zajmuje się dwóch trenerów I klasy, jeden II klasy i sześciu instruktorów. Szkolenie odbywa się w oparciu o sześć szkół podstawowych w Lubinie, Chocianowie i Polkowicach oraz ZSG i ZSTGR. Pracujący tam nauczyciele wfs są jednocześnie szkoleniowcami, zatrudnionymi w „Zagłębiu” na pół etatu. Do zajęć szkoleniowych wykorzystuje się też szkolną bazę sportową. Pozostałe koszty pokrywa klub. Muszę przyznać, że ta współpraca układa się doskonale, o czym świadczą wymierne rezultaty.

● Ominął pan kwestię finansowania. Dyplomacja?

— Broń Boże! Sponsorem naszej sekcji jest Zakład Robót Gór-

NA WSPÓLNEJ FALI

Z ZYGMUNTEM WOŹNICZKO, trenerem koordynatorem ds. młodzieży w sekcji piłki ręcznej MKS „Zagłębie” Lubin, rozmawia Janusz Dobrzański.

grywa się, kiedy gra się dobrze. Moim zdaniem, naszym największym sukcesem jest to, że wyszkoliliśmy wielu doskonałych szczytnistów, którzy z powodzeniem występują w pierwszym zespole. W kadrze pierwszego zespołu, liczącego 17 zawodników, 15 to nasi wychowankowie. I tak jest od dawna. Pod tym względem jesteśmy praktycznie samowystarczalni i nie mamy w Polsce odpowiednika.

W kadrze Polski juniorów występuje obecnie pięciu naszych piłkarzy. Takim udziałem może się pochwalić tylko wrocławski „Juwenia”. Warto też dodać, że kilku naszych zawodników, odbywających służbę wojskową występowało w klubach pierwszoligowych. Spisywali się doskonale. Generalnie biorąc właśnie to jest naszym największym sukcesem. Podkreślić też należy, że nasza szkoła piłkarska skupia dużą grupę młodzieży, oferując jej atrakcyjne i pożyteczne spędzenie wolnego czasu, co — chyba nie tylko moim zdaniem — jest wartością bezcenną.

● Skoro już o tym mowa, ilu młodych ludzi trenuje w sekcji, jak jest zorganizowana i kto ją finansuje?

Nie tylko kibiców sportowych, ale wszystkich amatorów dobrej rozrywki, lubiński OSiR zaprasza 7 stycznia br. (godz. 17 i 20) do hali sportowej przy ul. Składowej na super show pt. „Ring i mistrzowie”.

„Ring” — to mecz gwiazd walki (grupa Komara walczyć będzie z grupą Suprona), piosenki (m. in. Monika Borys i zespół „Vox”), humoru i seksu (nad całością czuwać będzie reanimacyjny sex-serwis!).

W programie ponadto liczne niespodzianki i najroźniejsze atrakcje: pokaz mody, konkursy (także do Księgi Guinnessa), wybór miss ringu, pojedynek klaunów, wolnoamerykanka.

Przedprzedaż biletów prowadzi OSiR (Lubin, ul. Odrodzenia 28b). Tenże OSiR, wspólnie z pozostałymi organizatorami (Naczelna Redakcja Sportowa TV, warszawskie Studio 10 i Zjednoczone Przedsiębiorstwo Rozrywkowe w Poznaniu) gwarantuje znakomitą 2,5-godziną rozrywkę!

● Dziękuję za rozmowę.

FELIETON

TAJEMNICE ALKOWY

Powiadają, że sport to zdrowie. A ja w to nie wierzę. Co więcej, jest to, moim zdaniem, tak samo balamutne i obłudne hasło, jak „partia z narodem i naród z partią”. Tak jak okazało się, że partia sobie, a naród sobie, tak okazuje się, że tam gdzie sport — nie ma zdrowia i odwrotnie. Sportowcy biorą anaboliki i jakieś inne świństwa, żeby bić rekordy. A kiedy już je pobiją wędrują na śmietnik dla mutantów i można nimi straszyc dzieci, bo tradycyjna Baba Jaga to przy nich Kreglicka. Ci, którzy im owe „eliksiry” przyrządzają i aplikują, a więc farmaceuci, lekarze i trenerzy wprawdzie czują się dobrze, bo w poczuciu spełnionego obowiązku, ale ze zdrowiem także są na bakier. Umysłowym. Trzeba bowiem nie mieć pięknej klepki, aby z człowieka zrobić małpę w imię sekund, kilogramów i centymetrów nazywając to zdrową sportową rywalizacją, z której nic nie wynika. Chyba że kibice w radosnym uniesieniu zde-molują jakiś pociąg.

Sport nie jest zdrowy również dla działaczy. Ich głównym zadaniem jest zdobywanie pieniędzy, co w ogóle nie jest sprawą łatwą. Wsuplanie środków na finansowanie działalności klubów w Polsce jest sztuką, zasługującą bez wątpienia na Nobla w dziedzinie finansów. A może i specjalną nagrodę światowego związku prestidigitatorów, jeśli taki jest. Polski działacz sportowy dokonuje bowiem rzeczy niemożliwych, porównywalnych z zamianą wody w wino albo nakarmieniem do syta kompanii rekrutów jedną bułką. Bo jeśli stan klubowego konta w banku wynosi „zero”, a klub dokonuje transferowej transakcji za kilkadziesiąt milionów, to wypada zastanowić się, skąd wzięła się ta forsa, skoro jej nie było?

Polski sport jest jednak tą dziedziną życia, w której cuda ciągle się zdarzają, w przeciwieństwie do innych, gdzie ostatnie miały miejsce w średniowieczu. Oczywiście nie dzieje się przypadkiem. System finansowania sportu doprowadzono w Polsce do schizofrenii, co sprawia, że stał się zbrojnym domem wariatów, w którym umie się poruszać tylko geniusz albo cudotwórca. Działacz sportowy jest więc człowiekiem niewiedzącym...

Dzień w dzień podejmuje decyzje balansujące na granicy legalności, żrą go własne nerwy, miewa stany przedzawałowe, żona grozi rozwodem, dziennikarze robią z niego aferzystę i ma chorą wątrobę, bo w tej branży wiele spraw trzeba opierać o bufet. W nagrodę wolno mu szaleć z radości, kiedy jego ukochana drużyna wygra na wyjeździe z „Vistulą” Psia Buda, albo jakąś inną groźną formacją i zdobędzie mistrzostwo. Potem już może zacząć się martwić, skąd wziąć pieniądze na obiecane premie. I tak w kółko. Podejrzewam, że gdyby prezes Juventusu został prezesem któregoś z polskich klubów, to by go zdymisjonowano po dwóch miesiącach. Z całą pewnością nie dałby sobie rady.

No i niech ktoś powie, że sport to zdrowie, a Polak nie potrafi. Czy nie mógłby jednak potrafić normalnie?

O. BSRWATOR

**SUPER
SHOW
„RING”**

LISTY

LOTNISKO? — TO BZDURA!

Pragnę się podzielić moją opinią na temat pomysłu z budową lotniska pasażerskiego w Legnicy, lansowanego przez „Konkrety”. Zwracam się z tym właśnie do Was, ponieważ mimo upływu wielu tygodni, „Konkrety” nie opublikowały moich krytycznych uwag.

Zacznę od tego, że budowie lotniska jestem przeciwny i zgadzam się z treścią artykułu „Dogonić zdrowy rozsądek”, jaki ukazał się na Waszych łamach.

W tak ciężkich czasach, w jakich żyjemy i w jeszcze cięższych, jakie nadchodzą pomysł z budową lotniska uważam za skrajnie nieracjonalny. Jest publiczną tajemnicą, że kryje się za nim kilku wojewódzkich notabli, którzy pod płaszczykiem tzw. interesu społecznego pragną mieć wygodne i szybkie połączenie lotnicze z Warszawą, aby się nie przemęczać podróży służbowymi. I to jest główny powód, dla którego nadaje się temu pomysłowi tak wielki rozgłos i lansuje z tak wielkim uporem.

W drugim artykule opublikowanym w „Konkretych” na ten temat autor powołuje się na liczne listy i telefony popierające pomysł, a także na przedsiębiorstwa i spółki zainteresowane budową lotniska. W artykule tym nie znalazłam jednak żadnego konkretnego śladu, że takie fakty miały miejsce. Wątpię więc w prawdziwość tych enuncjacji, albowiem nie wierzę, aby ktokolwiek kierujący się zdrowym rozsądkiem i znający realia województwa legnickiego mógł być zwolennikiem tego pomysłu.

Można by tu wymienić całą długą listę problemów, z jakimi borykają się największe miasta naszego województwa i cały region. Brakuje wody, są kłopoty z ciepłownictwem, z ochroną środowiska, nie ma mieszkań, szkół, sklepów, przedszkoli. Żle funkcjonuje łgowska komunikacja. To na co dzień widzi każdy, kto patrzy, jak wygląda nasze życie. Tymczasem okazuje się, że najważniejszym problemem społecznym jest budowa lotniska pasażerskiego w Legnicy!

Dlatego chcę zapytać, komu tak naprawdę jest ono potrzebne? Bo chyba nie przeciętnemu obywatelowi, który musi znosić prozaiczne uciążliwości życia?

Nie jestem przeciwnikiem lotnictwa lokalnego. Uważam, że u nas też ono by się przydało. Ale będąc zwolennikiem zdrowego rozsądku zastanawiam się co sprawia, że redakcja tygodnika „Konkrety” tak bardzo angażuje się w lansowanie nonsensownego pomysłu z lotniskiem? Czy województwo legnickie jest już takim rajem, że brakuje tylko własnych pasażerskich linii lotniczych?

AGATA JĘDRASZEWSKA
Lubin

„SAMOZADOWOLENIE
I RZECZYWISTOŚĆ”

W związku z notatką prasową „Samozadowolenie i rzeczywistość” uprzejmie informuję, że prawdą jest, iż prezydent miasta przed-

stawiając na sesji Miejskiej Rady Narodowej w Lubinie ocenę realizacji zadań MPR '89 za 10 miesięcy br., wniósł krytyczne uwagi do tych realizatorów inwestycji, których inwestycje realizowane są z opóźnieniem. Dotyczy to między innymi spółdzielni mieszkaniowych.

Wspomniany w notatce budynek nr 1 przy ul. Jaśminowej jest inwestycją SMZM a nie budynkiem komunalnym realizowanym z funduszu Miejskiej Rady Narodowej.

Dlatego też redaktor powinien zadać pytanie użytkownikom, dlaczego odebrano ten budynek? Dotyczy to również podłączenia tego budynku do sieci energetycznej i gazowej, które to wykonanie i podłączenie spółdzielnia mieszkaniowa powinna uzgodnić z samodzielnymi jednostkami tj. z Zakładem Energetycznym i Dolnośląskim Zakładem Gazowniczym.

Z notatki wynika, że autor w pewnym stopniu zna problemy realizacji budownictwa mieszkaniowego, gdyż usprawiedliwia spółdzielczość mieszkaniową ogólnym kryzysem w budownictwie. Jednak wydaje mi się, że obciążenie Urzędu Miejskiego sprawami, które zależą od bezpośrednich realizatorów inwestycji (funkcjonujących tylko w tym celu) jest nieelegancją.

Wiceprezydent miasta
inż. STANISŁAW KRAUZE

Od RED.: Wydaje nam się, że nieelegancja jest znacznie lepsza od niekompetencji. Pan prezydent zdaje się nie pamiętać, że to właśnie Urząd Miasta jest odpowiedzialny za sprawną realizację inwestycji z dziedziny infrastruktury komunalnej. Właśnie Urząd Miasta powinien dopilnować, aby woda, gaz, światło i kanalizacja zostały gdzie trzeba podłączone na czas. Spółdzielnia — jak pan sam słusznie zauważyła — powinna to tylko uzgodnić. I uzgodniła. To wszystko, co mogła zrobić. A co zrobił UM?

REGIONALNY „LOTEK”
CZYLI SPOSOB NA PIENIĄDZE

Pewien filozof (nie pamiętam nazwiska) powiedział mniej więcej tak: „Człowiek powinien myśleć, bo myślenie ma wielką przyszłość. Człowiek, który nie myśli, a żyje po to tylko, aby produkować kał, pozostawi po sobie tylko kupę kału”.

Jestem rencistą i mam dużo czasu na myślenie, więc sobie myślę, jak by pomóc finansowo naszemu klubowi „Zagłębie” Lubin, aby nie musiał zebrać o jalmużnę w zakładach pracy. Mam więc pomysł.

Klub powinien zabawić się — zorganizować regionalny „Lotek” na terenie Lubina i Polkowic, a może w przyszłości nawet na terenie całego województwa legnickiego. Jak to widzieć, na czym powinna polegać zabawa i robienie pieniędzy? Do zabawy potrzebni są: organizator gry w „Lotka” oraz kibice, którzy by zgadywali wynik meczu piłkarskiego naszej drużyny I-ligowej, grającej u siebie, jak i na wyjeździe. Dochodziłoby więc do „zawierania zakładów” między klubem a kibicami. Kupon dwuczęściowy (jedna część, na której wypisatoby się nazwisko i adres oraz wynik meczu, pozostawałaby w kolekturze, drugą z takim samym typowaniem — zachowałby



amepol

PRZEDSIĘBIORSTWO ZAGRANICZNE

Jedno z najstarszych przedsiębiorstw polonijno-zagranicznych w Polsce

działa od roku 1978, prowadząc produkcję i eksport w kilku branżach:

- INFORMATYKA
- APARATURA ELEKTROMEDYCZNA
- APARATURA ELEKTRONICZNA
- PREPARATY PRZEWODZĄCE
- MEBLE METALOWE
- SERWIS KOPIAREK OCÉ, NASHUA
- SERWIS CHROMATOGRAFÓW AMS (ANGLIA)

PRODUKUJEMY m.in.:

- wielodostępne, wielozadaniowe systemy minikomputerowe MX-16, używane do zarządzania przez wielkie przedsiębiorstwa typu: stocznie, huty szkła, zakłady mięsne, producenci wyrobów elektronicznych etc.;
- oprogramowanie systemowe i użytkowe;
- przemysłowe sterowniki mikroprocesorowe;
- mikroprocesorowe lokalizatory zware w liniach energetycznych;
- moduły i rozbudowy komputerów ODRA 1305, R-32, MERA 690, MERA 400, SM 4, SM 1420, SM 52/11 PLUS SM 52/13 i in.;
- ultradźwiękowe detektory tętna płodu, kardiostymulatory;
- analizator stanów logicznych;
- specjalistyczne preparaty epoksydowe przewodzące prąd elektryczny, smieci magnetyczny, ciepło — dla mikroelektroniki i elektroniki;
- programowalne mikrodozowniki do gęstych cieczy i past;
- programowalne systemy dozujące ze stołem X — Y;
- krzesła składane metalowe, regaly wystawiennicze.

BIURO TECHNICZNO-HANDLOWE

01-248 WARSZAWA, ul. JANA KAZIMIERZA 10

tel. 36-44-17, 36-49-05, c. 36-47-93; ttx 812539 apol PL

NAJSZYBCIEJ, NAJTANIEJ

ZAMIEŚCISZ KAŻDE OGŁOSZENIE

I KAŻDĄ REKLAMĘ

W „POLSKIEJ MIEDZI”

Ogłoszenia przyjmujemy codziennie (z wyjątkiem sobót) w sekretariacie redakcji (Lubin, ul. M. Skłodowskiej-Curie 66, D-10, tel. 461-021 i 461-025) w godz. 8.30—15.

Nasz tygodnik ukazuje się nie tylko w zagłębiu miedziowym.

dla siebie grający) kosztowałby tydzień złotych. Ilość zakładów byłaby dowolna. Zakłady byłby przyjmowane w kolekturach „Toto-Lotka” na terenie Lubina i Polkowic po spisaniu umów z pracownikami punktu „Toto-Lotka” (np. 1 proc. od przyjętych zakładów). Jeśli mecz jest rozgrywany w Lubinie, to takie zakłady mogłyby być przyjmowane w kasach przed stadionem do pierwszego gwizdka sędziego. Wydrukowanie kuponów pokryje grający, placąc za ów kupon 20 czy 30 złotych.

Zapyta ktoś, gdzie tu zysk dla klubu? Otóż 50 proc. wpływów można by przeznaczyć na nagrody dla grających, którzy trafnie wytypowali, a drugie 50 proc. szłoby do kasy „Zagłębia” odliczając od tego koszty manipulacyjne i podobne.

Klub, jako organizator — miałby staty i pewny dochód. Sądząc, że ze sprawdzaniem kuponów nie powinien mieć kłopotów, zwłaszcza iż grający mieliby obowiązek zgłaszania o trafnym typowaniu do określonego dnia. Możliwych typowa-

wań jest wiele i nie tak łatwo jest przewidzieć wynik meczu, bo takich możliwości jest około 50. Jak więc by nie było typowanie, ile wygranych, klub zawsze będzie miał zysk.

Dokładne opracowanie regulaminu i organizacji całej gry pozostawiam klubowi. Jestem przekonany, że pomysł mój jest dobry, choć może na początku trochę kłócić. Jednak przy dobrej organizacji i reklamie powinno się udać. Jeśli zaś jestem w błędzie i koncepcja moja nie jest godna uwagi, to przepraszam.

Nazwisko i adres do wiadomości redakcji

Od redakcji: Pomysł naszego czytelnika bardzo nam się podoba. Sądząc, iż podobnego zdania będzie zarząd „Zagłębia”. Ze swej strony deklarujemy zamieszczenie kuponów na każdy mecz na naszych łamach, po to, by każdy przedsiębiorca był mile widziany.

TV

CZWARTEK, 4.01.1990 R.
9.25 „Policjanci z Miami”
16.25 Kwant oraz film z serii: „Świat, w którym żyjemy”
17.15 Teleexpress.
17.30 Studio sport.
18.25 Magazyn katolicki.
18.45 10 minut.
19.00 Dobranoc.
19.10 Interpolacje (1).
19.30 Wiadomości.
20.05 „Policjanci z Miami”
20.55 Interpolacje (2).
21.35 Sport.
21.45 Pegaz.

PROGRAM II
18.30 Program public.
19.00 Magazyn „102”
19.30 „Opowieść o kropli wody” — film przyrod.
20.00 Wielki sport.
21.00 Ekspres reporterów.
21.30 Panorama dnia.
21.45 „Pieskie popołudnie” — film fabularny USA, reż.: Sydney Lumet.

PIĄTEK, 5.01.1990 R.
9.25 „Carscy kadeci” (1) — serial prod. radz.
16.25 Rambit.
16.50 Odkencko Pankracego.
17.15 Teleexpress.
17.30 Raport.
17.55 „Długa strona obrazu” — film dok.
18.25 Rzeczpospolita samorządna.
18.45 Weekend w Jedyne.
19.00 Dobranoc.
19.10 Teraz.
19.30 Wiadomości.
20.05 Akademia filmowa: „Powiększenie” — film prod. angielsko-włoskiej.
22.00 Sport.
22.10 Kontrapunkt.
22.40 Spór o jutro — otwarte studio
23.40 Dt — echa dnia.
24.00 Spór o jutro — otwarte studio (c.d.)

PROGRAM II
17.30 Wrocłowska lista przebojów Marka Niedzwiedzkiego.
18.00 Pr. lokalny.
18.30 O czym się mówi — pr. public.
18.50 Pr. rozrywkowy.
19.30 Dookoła świata.
20.00 Magazyn „Piątek”.
21.30 Panorama dnia.
22.00 „Piosenka niekochanego” — film fab. prod. francuskiej.

SOBOTA, 6.01.1990 R.
9.00 Drops oraz film z serii: „Jelonek” (9).
10.30 Dt — wiadomości.
10.40 „Koncert na miliard pałeczek” — film dok.
11.10 Azymut.
11.40 Z Polski rodem
12.10 Telewizyjny koncert życzeń.
12.40 Tryptyk z ziemi obiecanej (1).

13.10 Telewizyjny Teatr Prozy: Roman Rolland „Clas Breugnon”, reż. Tadeusz Junak.
14.40 Być reporterem.
15.05 Filmy o miłości: „Trzeba zabić tę miłość” — film prod. polskiej, reż. Janusz Morgenstern.
16.40 Rewizja nadzwyczajna — Prolog.
17.15 Teleexpress.
17.30 Studio sport.
18.30 Butik.
19.00 Dobranoc.
19.10 Z kamerą wśród zwierząt.
19.30 Wiadomości.
20.05 „Siedmiu wspaniałych” — western produkcji USA, reż. John Sturges, wyk.: Yul Brynner, Eli Wallach, Steve McQueen.
22.10 Sport.
22.30 Tydzień w polityce.
22.40 Koncert spełnionych życzeń.
23.40 Telegazeta.
23.45 Kolor sensacji: „Tajemnicza sprawa” — film prod. ang.

PROGRAM II
14.15 „Kavango — klejnot Kalahari” — film przyrod. ang.
14.15 „Ordy”
15.10 Komputer komentuje.
15.15 Meandry architektury.
15.35 Papierowa ceramika.
15.40 Wieloryby i delfiny.
15.45 Symbolizm w malarstwie polskim.
16.00 Bariery.
16.25 Studio sport.
16.55 Pr. dnia.
17.00 Musicale (2).
18.00 Pr. lokalny.
18.30 Wielka gra.
19.30 Pozostał tylko świat dym... — relacja z I Międzynarodowego Przeglądu Cygańskich Zespołów Piosni i Tańca.
20.00 Filharmonia „Dwójki”.
20.50 Ukraina bez wytycznych — rep.
21.15 Muzyka i polityka.
21.30 Panorama dnia.
21.45 Continental Singers.
22.10 „Znowu w Brideshead” (1) — serial prod. ang.
23.00 Jacek Stwora „Co jest za tym murem?” — monodram.

NIEDZIELA, 7.01.1990 R.
9.00 Telekanon oraz „60 urodziny Myszki Miki” (1) — film animowany produkcji USA.
10.30 Dt — wiadomości.
10.35 „Złoto” (4) — serial dok. prod. włoskiej.
11.15 Kraj za miastem.
11.40 Przed rokiem, po roku, za rok (1).
11.45 Telewizyjny koncert życzeń.
12.30 Teatr Młodego Widza — Ted Hughes „Przypowieść głupca”.
13.25 Sportowa niedziela
14.45 Przed rokiem, po roku, za rok (2).
14.50 Morze — magazyn.
15.50 Antena.
15.25 Przed rokiem, po roku, za rok (3).
15.35 „Panna dziedziczka” (34)
17.15 Teleexpress.
17.30 Przed rokiem, po roku, za rok (4).

17.35 Telewizyjny Teatr Rozmaitości — Terence Feely: „Jak w złym śnie”.
18.50 Przed rokiem, po roku, za rok (5).
19.00 Siostrzeńcy Kaczora Donalda.
19.30 Wiadomości.
20.05 „Ring” — film prod. polskiej.
21.05 7 dni — świat.
21.35 Sport.
22.15 Sadie Nine — pr. rozrywkowy.
22.45 „Dekalog, pięć” — film TP, reż. Krzysztof Kiesiowski, wyk.: Mirosław Baka, Krzysztof Globisz, Jan Tesarz.

PROGRAM II
9.55 Film dla niesłyszących: „Ring” — film pol.
10.50 Magazyn lotniczy.
11.20 Lokalny koncert życzeń.
11.45 Jutro po mieście.
12.15 Powitanie.
12.20 Polska Kronika Filmowa.
12.30 100 pytań do...
13.10 Maciej Niesiolowski — Z batutą i humorem.
13.25 Kino familijne: „Bajarz” (2) — serial ang.
13.50 Auto-moto fan klub.
14.20 „Polacy” — film dok.
15.00 „Wedrówki ludów nad Pacyfikiem” — serial dok. austral.
15.55 Być tutaj — gawęda prof. Wiktora Zina.
16.10 Biografie: „James Dean — buntownik” — film dok. prod. wł.
17.10 Studio sport.
17.30 Blizniak świata.
19.00 Wywiady Tętno Dziedzie.
19.30 Galeria „Dwójki”.
20.00 Studio sport.
21.00 Hity z orbit.
21.30 Panorama dnia.
21.45 „Wojna i pamięć” (19) — serial prod. USA.

PONIEDZIAŁEK, 8.01.1990 R.
16.25 Luz.
17.15 Teleexpress.
17.30 Gorące linie.
17.55 „Życie codzienne w epoce kamiennej” — film dok. belg.
18.30 Szansa dla żywności — program public.
18.45 10 minut.
19.00 Kot Leopold.
19.10 W Sejmie i Senacie.
19.30 Wiadomości.
20.05 Teatr Telewizji — Tadeusz Rózewicz: „Spaghetti i miecz”, reż. Józef Czernecki, wyk.: Beata Tyszkiewicz, Ryszarda Hanin.
21.50 Sport.
22.00 Kram z pamiętkami — kultura stanu wojennego.

PROGRAM II
17.30 Antena „Dwójki”.
17.45 Ojczyzna — polszczyzna — Dzisiaj w Betlejem.
18.00 Pr. lokalny.
18.30 „Znagania o Polskę” (1) — serial dok. ang.
19.30 Muzyczne wizyty.
20.00 Auto-moto fan klub.
20.30 Osadźmy sami.
21.15 Rozmowy o cierpieniu.
21.30 Panorama dnia.
21.50 „Heimat” (1) — serial prod. RFN.

WTOREK, 9.01.1990 R.
9.25 „Rzymianka” (3 - ośt.) — serial

prod. włoskiej.
16.25 Tik-Tak oraz „Cudowna podróż”.
17.15 Teleexpress.
17.30 Spojrzenia.
17.55 Klinika zdrowego człowieka.
18.15 System.
18.45 10 minut.
19.00 Przygody kotka Damiana.
19.10 Boso, ale bez ostróg — pr. publicystyczny.
19.30 Wiadomości.
20.15 „Rzymianka” (3 - ośt.) — serial prod. włoskiej.
21.35 Sport.
21.45 Listy o gospodarce.
22.20 Leksykon polskiej muzyki rozrywkowej — „S”.

PROGRAM II
17.30 Klub ludzi z przeszłością.
18.00 Pr. lokalny.
18.30 Modlitwa wieczorna z Sanktuarium Matki Boskiej Pszowskiej.
18.55 997 — wydanie specjalne dla młodzieży.
19.30 Kolorowy zawrót głowy
20.00 Przeboje Bogusława Kaczyńskiego.
21.00 „Dzieje fotografii”
21.30 Panorama dnia.
21.45 Studio im. Karola Irzykowskiego: „Maskarada” — reż. Janusz Kijowski, wyk.: Bogusław Linda, Zbigniew Zapasiewicz.

ŚRODA, 10.01.1990 R.
9.25 „Zagubiona przeszłość” — film fab. radz.
16.25 Dla młodych widzów: Sami o sobie — Soso.
16.50 Cojak.
17.15 Teleexpress.
17.30 Gry wojenne.
17.55 Telewizyjny informator wydawniczy.
18.15 Dawniej niż wcześniej.
18.45 10 minut.
19.00 Wyprawa Baltazara Gąbki.
19.10 Oferty Pegaza.
19.30 Wiadomości.
20.05 „Tyrania, Tytania, czyli noc dublerów” — komedia prod. węg.
22.20 Sport.
22.30 Plus-minus.

PROGRAM II
17.30 ABC — teleturbinę językową.
18.00 Pr. lokalny.
18.30 Magazyn „102” — Janusz Zaorski.
19.00 „Pokój niżej” (1) — serial prod. ang.
19.30 Gdzie my, tam Polska — rep.
20.00 Czarno na białym — przegląd PKF.
20.40 Przegląd muzyczny.
21.00 Ze wszystkich stron — rep. z Syberii.
21.30 Panorama dnia.
21.45 Telewizja nocą.
22.30 „Przyjaciele” (2) — „Czystość”

OGŁOSZENIA

POSZUKUJE kogoś z telefonem do przyjmowania zleceń, Lubin, Kamień 57/3 — po 17. 3144-g

HOROSKOP

▲ **BARAN** (21 III—18 IV). Sporo zaległości wymagających natychmiastowego załatwienia. W sprawach osobistych wyraźna poprawa stosunków z najbliższymi. Finanse godne pozazdroszczenia.

▲ **BYK** (19 IV—20 V). Sporo nowego w sprawach osobistych. Nie zapowiadające się zbyt atrakcyjnie spotkanie towarzyskie dostarczy niecodziennych przeżyć i pozwoli nawiązać intrygujące znajomości. Pomyśl jednak i o starych znajomych...

▲ **BLIZNIĘTA** (21 V—22 VI). W życiu zawodowym ważny nurt wydarzeń. Nie zniechęcaj się trudnościami, lecz staraj się je pokonać. Sprawy osobiste pomyślnie i dające satysfakcję. Wkrótce miła niespodzianka, chyba jakaś premia.

▲ **RAK** (23 VI—22 VII). Znaczne zmiany w życiu zawodowym pódją w oczekiwany przez ciebie kierunek. Drobne starcie na prywatnym gruncie. Jeśli nie będziesz tak uparty, sprawa szybko pójdzie w zapomnienie. Finanse dość kruche ale perspektywy rewelacyjne.

▲ **LEW** (23 VII—22 VIII). Pomyślnie perspektywy ale potrzebna będzie przedsiębiorczość i nieco ryzyka. Nowe spojrzenie na stare problemy może dokonać prawdziwego przełomu w twoim życiu. W sprawach osobistych atmosfera zaufania i wzajemnej życzliwości.

▲ **PANNA** (23 VIII—22 IX). Zmienne powodzenie w pracy.

Wszelkie niepowodzenia zrekomensujesz sobie w sferze prywatnej, a tu czekają cię nowe znajomości i przyjemne emocje. Nie trac jednak za szybko głowy.

▲ **WAGA** (23 IX—22 X). Energia z jaką zabierzesz się do rozwiązywania narosłych problemów wzbudzi podziw i uznanie. Będziesz mógł liczyć na wsparcie i pomoc. Ale pewne sprawy będziesz musiał rozwiązać sam.

▲ **SKORPION** (23 X—22 XI). Ciekawa propozycja zawodowa będzie wymagać zastanowienia. W sprawach osobistych poprawa stosunków z osobą, na której ci zależy. Stabilna sytuacja finansowa

▲ **STRZELEC** (23 XI—22 XII). Sporo zaległości do nadrobienia. Trzeba to jak najszybciej uporządkować, bo już wkrótce czeka cię nowa nawałnica. Ponadto, nawiążesz nowe, obiecujące znajomości. Przydałoby się więcej rozważy w wydatkach.

▲ **KOZIOROŻEC** (22 XII—20 I). Minie chandra spowodowana nie najlepszym okresem w życiu osobistym. Teraz wszystko ułoży się po twojej myśli, lecz musisz pamiętać, że to co dobre trzeba chronić. Ale, głowa do góry, gwiazdy ci sprzyjają!

▲ **WODNIK** (21 I—18 II). Dobre oceny w pracy będą nagrodą za twój upór i wytrwałość. Jeśli dodasz do tego jeszcze odrobinę pomysłowości, wkrótce nadejdą prawdziwe sukcesy i pokażne korzyści materialne. Miłe spotkanie.

▲ **RYBY** (19 II—20 III). Dużo nowości w sprawach zawodowych. Wyzwoli to zapał i energię do dalszego działania. Na efekty nie trzeba będzie czekać. Duże sukcesy! Finanse bardzo dobre ale strzeż się nie przemysłanych wydatków.

CO, GDZIE, KIEDY?

TEATR DRAMATYCZNY W LEGNICY

● spektakl pt. „Antygona” — 4, 5, 9, 10 bm. g. 12, 6-7 bm. g. 18.

KINA

GŁOGÓW — Jubilat — do 8 bm. „Willow” (USA), od 9 bm.: „Do zobaczenia chłopcy” (franc.), „Przesłuchanie” (pol.), Zodiak — 6-7 bm. „Kłątwa Doliny Węży” (pol.), „Rambo” (USA), 9-10 bm. „Czarownice z Eastwick” (USA).

LEGNICA — Piast — do 10 bm. „Wirujący seks” (USA).

LUBIN — Polonia — 4-8 bm. „Moonraker” (USA), do 15 bm. „Willow” (USA).

DOMY KULTURY I KLUBY

GŁOGÓW
Muzeum

● wystawa stała: Historia miasta i Księstwa Głogowskiego, Muzeum Odry.

LEGNICA

WDK

● wystawa II Giełdy sekcji i klubów fotograficznych woj. legnickiego — w galerii „Okno” w KMPIK, do 5 bm.

● bajki wideo dla dzieci — w niedziele o godz. 13.

● dyskoteka dla młodzieży — w niedziele o godz. 17.

● giełdy wideo, płyt i programów komputerowych — w środy od godz. 15 i w soboty od godz. 13.

LCK

● bajki wideo dla dzieci — w każdą sobotę od g. 11 (wejście od ul. Bankowej).

● giełdy sprzętu wideo, Hi-Fi, kaset, płyt — w piątki od g. 15 i w niedziele w godz. 10-13.

POLKOWICE
DK „Impresja”

● w cyklu: edukacja teatralna — Zabawy parateatralne dla dzieci, część I — 4 bm., g. 10.

● bal maskowy dla dzieci — 6 bm. g. 14, o godz. 17 filmy w kinie wideo dla młodzieży.

● teatrzyk dla dzieci pt. „Szkarłatka” w wyk. aktorów Teatru Animacji z Jeleniej Góry — 9 bm. g. 10 i 11.30.

● wystawa „Karnawał ze Snieżką” — prace plastyczne dzieci, do 31 bm. w galerii „Zaczarowanego Ołownika”.

LUBIN
DKZM

● organizuje gimnastykę odchudzającą dla pań, w dwóch cyklach: I cykl — od 2 bm. do 27 II, II cykl: od 2 III, do 27 IV. Zapisy w pokoju nr 9, tel. 33-18-97.

UWAGA — KONKURS!

Ośrodek Kultury „Wzgórze Zamkowe” w Lubinie ogłasza otwarty konkurs na znak graficzny (wykonany dowolną techniką) instytucji Prae opatrzone godłem (powinno ono być też na kopercie, w której znajdą się imię i nazwisko autora oraz adres), prosimy nadsyłać na adres: Ośrodek Kultury „Wzgórze Zamkowe”, ul. Piastowska 15, 59-300 Lubin, do 15 stycznia br. Rozwiązanie konkursu i wręczenie nagród, na które przeznaczono 50 tys. zł, nastąpi 19 stycznia.

Prosto z życia

INNE CZASY

Targowiska mają swój niezaprzeczalny urok i tak przyzwyczajaliśmy się na nich kupować, że to czy placimy za coś więcej niż w sklepie czy mniej, nie ma już znaczenia. Niedawno na targowisku, tzw. zielonym rynku w Głogowie, zaobserwowaliśmy taką scenkę. Handlarze oferowali nożyczki do cięcia papieru w kształcie króliczka po 3 tys. zł sztuka. Wyrób estetyczny, kolorowy, w sam raz na prezent dla dziecka. Panie wprost wrywały sobie nożyczki-króliczki z rąk. Zainteresował się tym przechodzący właśnie pan. Gdy usłyszał cenę oburzył się i powiedział — po co baby tu kupujecie; takie same nożyczki są w papiernicznym na placu Tysiąclecia po 750 zł.

I co? Kiedyś tłum wyzwałby handlujących od spekulantów, a teraz starszy pan usłyszał, że ma się nie wtrącać i jeszcze kilka innych przykrych słów...

ZNÓW ZAPOMNIELI!

Kiedy niedawno zabrakło pieczywa w lubińskich sklepach, a było to 11 listopada, próbowaliśmy usprawiedliwić handlowców wyominając naszym Czytelnikom, że też nie są bez winy, bo zapomnieli o święcie i nie pomyśleli wcześniej o zakupach. Tym razem jednak trudno nam znaleźć usprawiedliwienie. Oto 23 grudnia na osiedlu Przylesie od sklepu do sklepu wędrowały istne tłumy potencjalnych klientów poszukujących pieczywa na trzy świąteczne dni. Tracono nerwy i czas w tych wędrowkach a także w tasieniach kolejkach. Zyczeń, jakie przy tej okazji padały pod adresem „Społem” nie powtarzamy — niecenzurujemy.

Może by więc ojcowie miasta przypomineli wreszcie komu trzeba, że jednak tabakiera jest dla nosa...?

A przy okazji ciekawostka — w poświęconą środę w sklepie przy ul. Mickiewicza dostać można było jedynie pieczywo z niedzielnego wypeku (po normalnej oczywiście cenie). Czyżby rekompensata za sobotę?

CO BYŁO WCZEŚNIEJ?

Mimo wielkiej biedy w jakiej żyli mieszkańcy Rumunii pod rządami „ukochanego syna Karpat” i dramatu zgotowanego im w ostatnich dniach przez siepaczy Ceausescu, nie opuszcza ich jednak humor, o czym świadczą usłyszany w Bukareszcie dowcip:

— Czego Rumuni używali zanim zaczęli używać świecy? — zapytał taksówkarz gościa z Zachodu.

Gdy ten zbyt długo się zastanawiał, usłyszał w odpowiedzi:

— Żarówkę, żarówkę, miły panie — zaśmiał się kierowca.

Najbardziej dociekliwym mieszkańcom Przylesia proponujemy wycieczkę krajoznawczą do... nowej siedziby spółdzielczej administracji, mieszczącej się w gmachu „Domów Towarowych „Centrum”. Już tylko pobieżna lustracja urzędniczej twierdzy pozwoli wysnuć wnioski, ile to wszystko musi kosztować. Kto ostatecznie płaci rachunki, wiadomo od dawna.

A może by tak zarząd SM „Przylesie” zechciał poinformować swoich członków, jaki jest udział kosztów administracji w enigmatycznych kosztach eksploatacji?

zaimprovizowanymi straganami trudno się przecisnąć.

Nie mamy nic przeciwko przedsiębiorczości, co więcej — uważamy, że indywidualni handlarze wspaniale wzbogacają rynek, a ich ceny oferują konkurencyjne, i potargować się można. Pragniemy jednak zwrócić uwagę, że w całym cywilizowanym świecie na taką działalność trzeba mieć koncesję, albo płacić podatek w innej formie. Wiele lat temu taki podatek nazywano „placowym”. Miasto dzięki któremu można czerpać zyski, też musi zarobić, choćby po to, że po ulicznych handlowcach trzeba posprzątać. Tymczasem ojcowie naszych grodów jakby o tym zapomnieli.

Mamy więc pytanie dozydentów Legnicy, Lubina i Głogowa, co zamierzają zrobić z tą zabawą? Czyżby w kasach miejskich było tyle pieniędzy, że można sobie pozwolić na filantropię podatkową wobec handlarzy robiących kokosowe interesy?

O ile nam wiadomo, w budżetach municypalnych raczej się nie przelewa...

SZOK

— Czy wyobrazić sobie, że nasze dzieci nie otrzymają z zaskładu tradycyjnych paczek noworocznych? Tego jeszcze nigdy nie było! — dzwonią rozgoryczeni pracownicy kopalni „Rudna”.

— Na razie nie stać nas na ten wydatek. Na zakup paczek dla 12 tys. dzieci trzeba przeznaczyć 12 mln złotych, tymczasem brakuje nam 300 mln złotych. I dzieje się tak, choć podstawowy odpis na Zakładowy Fundusz Społeczny został zasłony środkami z zysku. Pieniądze te zostały w dużym stopniu „zjedzone” przez inflację i nie możemy zaspokoić wszystkich potrzeb społecznych załogi. Z czego trzeba zrezygnować. Może po dejmowane przez Sejm ustawy zwiększą odpis podstawowy na ZFS, wówczas temat paczek znów stanie się aktualny — wyjaśnia kierowniczka działu socjalnego w kop. „Rudna”, p. Macyszyn.

A więc trzeba się uzbroić w cierpliwość. Na razie górników „Rudnej” możemy pocieszyć, iż w innych zakładach też nie ma paczek. Tylko jak to wytłumaczyć pociechom? Wydaje się jednak, że w najbliższych miesiącach przyjdzie nam przeżyć jeszcze niejedno tego rodzaju szok.

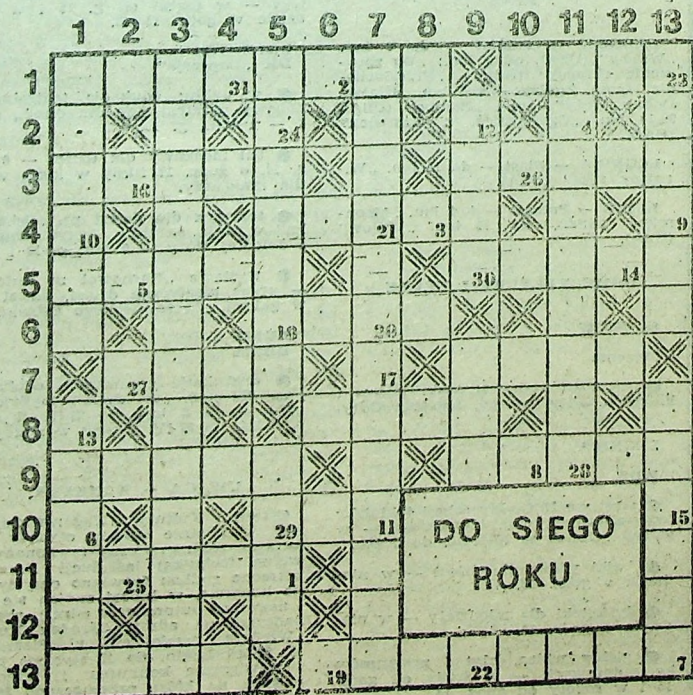


CZYIM KOSZTEM?

Członkowie lubińskiej spółdzielni mieszkaniowej „Przylesie” zazdroszczą spółdzielcom z SMZM. I trudno się dziwić, skoro placą znacznie wyższe czynsze niż w konkurencji. Przylesianie zastanawiają się jak to jest możliwe, skoro obie spółdzielnie działają w tym samym mieście, w zbliżonych do siebie warunkach?

WOLNOŚĆ BEZ GRANIC?

Indywidualna i zbiorowa przedsiębiorczość nareszcie zaczęła być w cenie. I wystrzeliła potężnym geizerem, co widać na każdym kroku, a w zasadzie na każdym deptaku. Najruchliwsze punkty wszystkich większych miast w Zagłębiu Miedziowym opanowali handlarze. Jest ich tylu, że pomiędzy



KRZYŻÓWKA "PM"

... NOWOROCZNA

Litery z krótkich ponumerowanych, czytane kolejno od 1 do 31 utworzą rozwiązanie — przysłowie ludowe.

POZIOMO:

- A) Brzydota ▲ Miarowy chód konia.
- C) Scena, odsłona ▲ Ciasto z kremem.
- D) Część sali teatralnej.
- E) Przepląwa przez Bory Dolnośląskie ▲ Pika, włócznia.
- F) Leśny kuzyn świni.
- G) Zupa rybna ▲ Miarowość.
- H) Narząd słuchu.
- I) Tulipan ▲ Piłkarskie buty.
- J) Narząd wzroku.
- K) Uczeń seminarium duchownego.
- L) Głon ▲ Objaw, fakt dający się zaobserwować.

PIONOWO:

- A) Jasełka ▲ Omasta

- C) Zajmuje się operacyjnym leczeniem wad serca.
- E) Flanca ▲ Dziesięć kwintali.
- G) Domena Gerarda Peclaka.
- I) Opad ▲ Skończył się.
- K) Na plecach pierwszoklasisty.
- L) Afisz ▲ Np. Legnica.

RYSZARD LOBOS

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NR 50

Hasło: Wpierw się napiłem na swoje zdrowie, a potem je straciłem w rowie.

Poziomo: wstążka, gwarek, dowódca, męka, poklon, przodek, epika, Raksa, turysta, zator, socba, orszada, kolano, meta, dojenie, zalewa, wiew, Kaczawa.

Pionowo: wada, towar, żądło, agape, park, Nemo, mleczak, kwintal, okrasa, lakocie, Niagara, partron, zarys, deska, rodak, zając, Dania, osad, ajer, mewa, tren.